Nr. 19. Warszawa, dnia 29 Kwietnia (12 Maja) 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 2.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

V.

Nastał moment krytyczny. Roberts po dwumiesięcznych wypoczynkach i przygotowaniach wyruszył nareszcie na północ, a jak mówi w biuletynie swoim, na Pretoryę. Najpierwszą pozycyą, której zajęcie w d. 3 b. m. pozwala powiedzieć o Anglikach, że istotnie posunęli się naprzód, był ten sam Brandford, do którego teoretycznie miał obowiązek dążyć po zaskoczeniu w środku lutego pod Kimberleyem Cronje. Niewielki opór, zdobycie bez strat poważnych, wskazują, że Boerowie mieli na tym punkcie niewielkie siły i że się cofnęli ku większym na pozycye strategicznie cenniejsze, bliższe Kroonstadu. Zajęcie jednoczesne Vinburga, około którego toczyły się już dawniej pomniejsze utarczki, dało Anglikom linię frontu, dającą już możność rozwinięcia się wzdłuż rzeki Vet na północ od obu powyższych stanowisk, wpadającej do Vaalu w zachodnim pasie widowni. D. 5 b. m. Roberts, dowodzący bezpośrednio głównym trzonem, tj. środkiem armii, stał już po drugiej stronie tej rzeki. D. 6 b. m. Smaldeel, stacya zniszczonej drogi żelaznej Brandfort-Kroonstad, znajdowało się w mocy Anglików. Stąd do Kroonstadu jest już tylko jakie 50 kilometrów.

W końcu bieżącego tygodnia sam Kroonstad już znajdzie się pod ogniem dział angielskich. Może słabość własna lub przemoc pozycyjna wroga — skutek szybkiego a umiejętnie zagarniającego pochodu — nakaże Boerom ustąpić stąd bez uporczywego boju, ale wydanie Kroonstadu całkiem bez walki byłoby ciężkim z ich strony błędem. W danej części widowni bez względu na inne mogliby to uczynić, nie krzywdząc samych siebie, gdyby chcieli cofnąć się wprost na północ ku Walowi i, rzucając Oranię na pastwę, zamierzali odrazu do Transwalu przenieść widownię walki; ale takiego właśnie ich zamiaru nie usprawiedliwiłby najlżejszy nawet rozsądek wojskowy, obejmujący całość widowni i działania wojenne układający w syntezę. Wycofanie się zupełne z pod Walu w tej już chwili byłoby wręcz samobójstwem. Cała ogromna twierdza gór Smoczych, cały północny róg Natalu, wszystkie dotychczasowe znoje i ofiary, wszystkie Ladysmithy i Spionskopy, wszystkie radości i żale, obawy i nadzieje, wszystkie obliczenia strategiczne na posiadaniu tej twierdzy i tego rogu oparte — wszystko to byłoby zmarnowano, wrzucono w przepaść, do niooości sprowadzono: lepiej było wcale walki nie podejmować, niż wtedy, kiedy się ona właściwie dopiero rozpoczyna — rzucać, gorzej niż oręż, rzucać stanowisko, nietylko dla własnej obrony niezbędne, ale i wrogowi niesłychanie napaść na tę widownię, na której się już walczyć chce i chcąc nie chcąc musi, ułatwiające.

Nie jest czczą tylko lub bezmyślną przechwałką zapowiedź angielska opanowania Bethleemu i Harrismithu, dwu punktów wielkiej wagi: pierwszy wraz z Lindleyom daje łączność Boerom kroonstadzkim z natalskimi, drugi nie pozwala Bullerowi wedrzeć się do Oranii od gór Smoczych. Posiadanie Harrismithu, zwłaszcza od chwili rozpoczęcia przez Robertsa wojny właściwej, roztaczającej się już na wolnych przestrzeniach — było dla Boerów sprawą żywotną. Tracąc Harrismith, tracą Natal po nad Tugelą; tracą pomyślne warunki bronienia się w północnym jego rogu, a zatem korzyść, której odpowiedzieć by musiała niejedna klęska angielska; tracą wreszcie tę możność przedłużenia i przetrzymania boju, która słabym, a mogącym liczyć na jakieś dyplomatyczne *moments psychologiques* — nieraz już wyświadczyła przysługę. Gdyby Buller wąwozami w Drakensberge wdarł się do Oranii i opanował Harrismith, nawała angielska, dotychczas nad Vetem występująca, zyskałaby od wschodu na prawem skrzydle nową masę i siłę rzutu taką, że samo trzymanie się Boerów w najwspanialszej, jak dla nich, na ich taktykę i liczebność, warowni przyrodzonej, byłoby nierozsądnem, i opuszczenie Walu bez oporu stałoby się nieuniknionem i nakoniec walka za Walem, w samym Transwalu, po wycofaniu się lub ustąpieniu koniecznem ze stanowisk południowych — musiałaby być aktem rozpaczy, w którym bohaterstwo, zgnębione poczuciem winy, utraciłoby swą dzielność.

Takie powody i przyczyny narzucają przewidywanie, że Boerowie z pod Kroonstadu i wogóle w zachodniej połowie Oranii, nie myślą o cofaniu się za Wal bez względu na to, co się stać może z Boerami w połowie wschodniej i w Natalu; że przeciwnie, na widowni samej siły swoje i w planie wojennym działania jedni z drugimi złączyli tak, aby wytworzyć jedną całość, tak zorganizowaną czy złożoną, iż części jej odczuwają wzajemną od siebie zależność, stykają się z sobą strategicznie, służą do jednego celu i zdolne są działać w

jednym kierunku, na punkta jednej wspólnej linii. Jeżeli taka jest sprawność strategii boerskiej, to umysłowi patrzącemu zdala narzuca się domniemanie, iż front obronny Boerów z Kroonstadu wytworzył prawe skrzydło, z Landleyu środek, z Bethlehemu skrzydło lewe i że jednocześnie z rozwijającym się napadem angielskim w Oranii jak największa przezorność przy wzmożeniu się w jak największe siły w nad-tugelskim Natalu zatrzymywać będzie Bullera, — aby nie mógł wedrzeć się do Harrismithu i przestrzeniowo uzupełnić frontu nacierającego na Transwal od południa. Gdyby się to nieszczęście stało, wtedy dopiero ustąpienie wprost za Wal byłoby żelazną obrożą na szyi.

Tydzień polityczny. Cesarz Franciszek Józef bawił w Berlinie od 4 6 b. m. Przyjęcie, mowa do nadburmistrza Kirschnera, dalsze objawy od samego cesarza Wilhelma wychodzące, pożegnanie serdeczne na kolei, dwie narady cesarza niemieckiego z hr. Gołuchowskim na osobności — zaświadczyły przed światem o tem, o czem nie wątpiono, ale co potrzebowało odpolerowania. Sama uroczystość pełnoletności niczem nie zatrzymuje uwagi.

Cesarz austryacki wpadł po powrocie odrazu we wrzątek. Czesi d. 4 b. m. postanowili tamować dalej obrady Rady państwa, a d. 8 b. m. dotrzymali sobie słowa. Kilka imiennych głosowań zajęło czas na uchwały potrzebny: galerye musiano opróżnić, posiedzenie odroczyć. Rząd przedstawił projekt oddawna zapowiadany — trzy projekty: dla Czech i dla Moraw prawa o języku władz w stosunkach zewnętrznych wewnętrznych, i dla Czech samych wytworzenie nowych obwodów między hetmaństwami (małe powiaty) a namiestnictwem. Czechy podzielone na czeskie, niemieckie i mieszane. Na Morawach językiem urzędowym wyłącznie niemiecki: nic dziwnego, że się Czesi burzą. Szlachta feodalna i Koło galicyjskie usiłowały odwieść ich od bratalnego oporu. W Wiedniu przewidują i rozpuszczenie sejmu. może rozwiązanie, i dymisyę gabinetu.

W Bulgaryi krwawe rozruchy. Pod Ruszczukiem lud strzelał do wojska, wojsko do ludu. W siedmiu departamentach (powiatach) stan oblężenia. Nierozumni ministrowie przywrócili dziesięcinę turecką w naturze, bo spodziewali się z omłotu zboża więcej, niż z podatku. Tylko bulgarski rozum stanu mógł wpaść na taki genialny pomysł. A gdzie konstytucya, gdzie izba, gdzie jej prawa podatkowe?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

HYGIENA SZKOLNA.

Nasze Towarzystwo hygieniczne odrazu znalazło bardzo rozległe pole działalności we wszystkich dziedzinach życia. Działalność ta wszakże nie wyszła jeszcze z fazy teoryi, tj. projektów, wniosków, badań i poszukiwań. To jednak, co dotychczas przedsięwzięto, ten cały program pracy, systematycznie podzielonej na rożne sekcye, stanowi już sumę zabiegów bardzo dodatnich. W poczet członków Towarzystwa hygienicznego zapisało się i zapisuje mnóstwo osób z różnych sfer i zawodów, przedstawicieli inteligencyi, którzy bezpośrednio stykają się z życiem, a więc stanowią bardzo ważny łącznik pomiędzy społeczeństwem a instytucyą. W ten sposób Towarzystwo hygieniczne w okresie swej działalności przygotowawczej stało się niejako biurem wywiadowczem, które najpierw musi zbadać warunki i potrzeby hygieniczne różnych dziedzin życia, a potem dopiero przystąpi do pracy wykonawczej. Tymczasem może się zrodzić i dojrzeć niejeden projekt dobry, który zawczasu rozważony, przygotuje ogół do pracy około naprawy warunków, przynajmniej o tyle, o ile one nie zależą od głębszych przyczyn. Ten cały materyał przygotowawczy, zebrany dotychczas bądź bezpośrednio przez Towarzystwo hygieniczne, bądź pośrednio, skutkiem spraw poruszonych w łonie instytucyi — daje bardzo ponury obraz warunków sanitarnych naszego społeczeństwa. Z działu hygieny ludowej i szkolnej mamy najsmutniejsze dane.

Przed paru laty wydział ludowy warszawskiej wystawy hygienicznej rozesłał kwestyonaryusz, dotyczący warunków zdrowotnych dziatwy i młodzieży szkolnej. Odpowiedzi stwierdzają pośrednio jeszcze inny fakt znamienny, który się ujawnił już niejednokrotnie w życiu naszem, mianowicie to, że społeczeństwo, nie wyłączając nawet sfer inteligentych, nie jest wcale uświadomione w zakresie potrzeb hygieny publicznej. Rozesłano ogółem 1,035 egzemplarzy kwestyonaryusza, w tej liczbie 69 do lekarzy powiatowych. Tymczasem nadeszły odpowiedzi z sześciu gubernij zaledwie o 100 szkołach (w jedenastu powiatach). Niema więc żadnych wiadomości z czterech gubernij (58 powiatów), *nawet od lekarzy*, którzy przecież zdają sobie sprawę z całej doniosłości hygieny. Są to mianowicie gubernie: Radomska, Piotrkowska, Kielecka i Płocka, w których skupiło się stosunkowo najwięcej inteligencyi i najbardziej rozwinęły się dziedziny pracy, pozostające w jaskrawej rozterce z wymaganiami hygieny.

Odpowiedzi z sześciu gubernii dały jednak dr. H. Podolskiemu (w *Zdrowiu*) sposobność do sformułowania bardzo ciekawych i znamiennych wniosków: Nasza szkoła ludowa wiejska jest to budynek drewniany, kryty gontą, a często słomą, stojący zawsze przy gościńcu.. Od podłogi do pułapu ma on wysokości trochę więcej, niż cztery łokcie. Okna małe, niedostatecznie oświetlające wszystkie miejsca w ławkach. Dom taki dzieli się na dwie części. Jedna połowa lub pewna część domu, przeznaczona jest na mieszkanie dla nauczyciela; druga — na izbę szkolną. „Wchodzimy do tego domu przez małą nieogrzewaną sień; do ścian przybite są wieszadła na ubranie, lecz ubrania nie widzimy, bo zwierzchniego uczniowie albo nie zdejmują, albo widzimy dziesiątą część tego, co być powinno. Na progu izby szkolnej uderza nas ciężka i duszna atmosfera, bo miejmy na uwadze, że to pora zimowa, okna szczelnie zamknięte i oblepione, a wentylatorów w szkole niema. I oto ciekawość nas wzięła wymierzyć wielkość izby szkolnej i obliczyć ilość powietrza, jaka wypada na jednego ucznia. I nie dziwimy się teraz, że na twarzy nauczyciela i uczniów odbija się pewne znużenie, przy

W ojczyźnie Boerów.

Pół roku już minęło od czasu, jak imperyalizm angielski przedsięwziął „spacer"—do Pretoryi. Tak nazywały dzienniki inspirowane przez Chamberlain'a i jego klikę wyprawę przeciwko Rzplitym południowo-afrykańskim. Dziś bez względu na to, co przyszłość przyniesie, muszą oni uznać, że „spacer nie udał się".

Od pół roku dzienniki żyją tylko transwalską awanturą. Ciekawość Europy nie słabnie ani na chwilę. Jedni mają „osobiste rachunki" z Anglią wogóle, inni z imperyalizmem czy *jingoizmem* Chamberlain'a, inni wreszcie z owemi magnesami (już nie specyalnie angielskimi), które przyciągają złoto i brylanty Transwalu do ogniotrwałych skarbców kapitalizmu europejskiego. Po za tem cieszą się dostawcy intendentur wojskowych, handlarze koni i td. Nakoniec—i to czynnik nie najsłabszy, działa ogólno światowa ciekawość dla żołnierza, i bitwy, szczególniej podniecona odległością, z której kule biją: zabawa przyjemna i bezpieczna. Czegóż filistrom więcej trzeba? Ciekawość ta atoli ma i swoją dobrą stronę. Jej pewnie możemy zawdzięczać bogate żniwo literackie w zakresie południowego krańca Afryki. Mnożą się traktaty i ulotne broszury: nigdy nie byliśmy tak dobrze poinformowani o geografii, geologii, etnografii, o stosunkach ekonomicznych i politycznych Afryki Południowej, jak dzisiaj. Prawie cała ta literatura jest efemeryczna; to jednodniówki, których życie zamyka się w granicach wschodu i zachodu słońca. Są tam jednak wyjątki, u kolebki których nie stała spekulacya, jeno uczciwa ciekawość, poważne badanie, polityczny rozum—i talent. Zaś śród tej dobrej, zaufania godnej literatury stanowisko pierwszorzędne zajęło dzieło znakomitego polityka i publicysty angielskiego James'a Bryce'a: *Impressions of South Africa* (Wrażenia z Afryki południowej). Dzieło to wydane po raz pierwszy w r. 1897, w końcu zeszłego roku po raz trzeci odbitem zostało i ukazało się jednocześnie w przekładzie niemieckim.

Bryce przedsięwziął do Afryki podróż w towarzystwie żony i nie szczędził trudów, aby dokładnie i poważnie zapoznać się z polem walki najnowszej narodu, do którego należy. Z Kapsztatu udał się koleją na Kimberley do Mafekingu, gdzie w owym czasie (na jesieni 1895 roku) linia kolejowa kończyła się. Stąd trzeba było posuwać się dalej rzomiennym dyszlem, poczęści nawet wozem zaprzężonym w woły; brać ze sobą nietylko zapasy żywności, ale i przegotowaną wodę. Tak bez żadnej eskorty wojskowej, bez broni, w towarzystwie tylko woźnicy (Holendra z kolonii Kapu) i jego pomocnika, murzyna, zwiedzili małżonkowie Bryce kraj Beczuanów i Matabelów, wojowniczego, dwa lata zaledwie przedtem zwycięzonego plemienia afrykańskiego, udając się naprzód do Bulawayo, a następnie do Fort Salisbury. Do ostatniego punktu a stąd do Beiry podróżowano poczęści koleją, poczęści łodzią albo małym parowcem. Z Beiry odwiedzono Lourenço Marques, skąd znowu na zatokę Delagoa zwrócono się do Durbanu w Natalu. Następnie zwiedził Bryce Pretoryę, cały prawie Transwal i Oranję; z Bloemfonteinu udał się również do kraju Basutów.

Na podstawie nietylko tego, co czytał, ale włączając i wyniki osobistej obserwacyi, daje nam autor w 27 rozdziałach najobszerniejszy, jaki mieliśmy, dotychczas opis kraju, ludzi i wypadków. Pole obserwacyi — wielki, obszerny szmat ziemi pomiędzy oceanami a rzeką Zambesi leżący, połowie Europy równający się. Przyroda niebogata. Prawie siedm ósmych zajmuje płaszczyzna zaraz w pobliżu wybrzeży pod ostrym kątem idąca w górę aż do wysokości 3 do 5 tys. stóp, następnie przechodząca w płaskowzgórze ciągnące się wiele set mil angielskich na północ i południe, na zachód i wschód: drzew prawie niema wcale; ku zachodowi zupełna pustynia, po za tem niekoniecznie soczyste pastwiska, wymagające skutkiem tego wielkich przestrzeni. Na tle tego fizykalnego krajobrazu koniecznem się wydaje małe, niegęste wcale zaludnienie kraju. Przez większą część roku panuje tutaj susza, największe rzeki wysychają. Jedynie tylko pas ziemi wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego przedstawia wartość pod względem rolnym; wąski w Kapie, rozszerza się zna-

nieco przyspieszonym oddechu, gdyż do wymiany gazów w płucach wolno im używać mniej, niż 2½ metra sześciennego powietrza (norma według prof. Erissmana=5 metrom sześciennym), a temperatura w szkole dosięga 18° R. W ławkach siedzą uczniowie, a najmłodsi, 7 i 8-letni, kryją się w nich, bo pulpity są za wysokie. Ten i ów zajęty jest pisaniem a postawa jego ciała przy tej czynności przybiera nienaturalny kierunek, bo uczeń swoim organizmem zastosować się musi do wymiarów ławki, często dla niego nieodpowiednich. Dzieje się zaś to kosztem siły jego mięśni, które przecież po pewnym czasie się wyczerpują."

Z ogólnej liczby 100 szkół zaledwie *dziewięć* czyniło zadość normie prof. Erissmana, co do ilości powietrza, niezbędnej dla jednego ucznia. Reszta posiadała tego koniecznego czynnika zdrowia i życia w ilości ½ a nawet $^1/_{10}$ owej normy!

Niezależnie od kwestyonaryusza wydziału ludowego, dr. Pełczyński z Kolna (gub. Łomżyńska) rozesłał 200 zapytań do nauczycieli w pow. Kolneńskim i otrzymał 147 odpowiedzi. Otóż dane te stwierdzają, iż lokal szkolny najczęściej nie odpowiada swemu przeznaczeniu, bo choć wzniesiono go wyłącznie na szkołę, ale miano na względzie przedewszystkiem taniość. W 16 wypadkach szkoła mieści się w jednym domu z urzędem gminnym, a więc i *z aresztem!* Jedną umieszczono nad szynkiem i domem zajezdnym, dwie w sąsiedztwie służby kościelnej. „Dziatwa więc jest narażona na niebezpieczeństwo podlegania chorobom zaraźliwym, przynoszonym przez osoby, odwiedzające zmarłych, lub przez chorych, przywiezionych do spowiedzi, a często przesiadujących u dziadów kościelnych!" W znacznej większości izby szkolne są zimne i wilgotne; 120 szkół na 147 nie posiada rozbieralni. Skutkiem tego dziatwa musi spędzać 6—8 godzin dziennie bardzo często w ubraniu przemokniętem. Wogóle szkoły te nie posiadają następujących niezbędnych warunków: ławek wygodnych, zastosowanych do wzrostu uczniów, jakichkolwiek „wygódek," podwórza, sali rekreacyjnej, studni z dobrą wodą do picia, a co najważniejsza — powietrza. W paru szkołach jest go zaledwie $^1/_{20}$—$^1/_{15}$ normy niezbędnej.

„Stan sanitarny szkół naszych — mówi dr. Pełczyński — woła o pomstę do Boga." Zdaniem autora, można byłoby poprawić warunki tylko wtedy, gdyby fundusz szkolny powstał z podatku, nałożonego na ludność. Wysokość jego powinny określać nie gminy, lecz władze naukowe, fundusz zaś trzeba powierzyć instytucyom, które rozumieją i żywo odczuwają potrzeby w tej mierze.

Byłoby bardzo pożądanem, ażeby lekarze, zgodnie z wnioskami dr. Pełczyńskiego, wystąpili do sfer właściwych z żądaniem uwzględnienia następujących warunków: 1) aby gmach szkolny budowany był według planu specyalnego, przyczem izba szkolna powinna być dostatecznie oświetlona (powierzchnia okien powinna obejmować co najmniej $^1/_6$ powierzchni podłogi, według wskazówek dr. Erissmana), zawierać tyle powietrza, aby w szkołach miejskich na ucznia wypadało najmniej 4 a w wiejskich 3 metry sześcienne powietrza. 2) Aby izba szkolna była dostatecznie przewietrzana za pomocą wentylatorów, które mogłyby działać także w zimie, bez wpływu na zmianę ciepłoty izby. 3) Aby w lokalach szkolnych były wszędzie rozbieralnie ogrzewane. 4) Aby przy każdej szkole była własna dobra studnia z wodą zdatną do picia, podwórze wybrukowane i choć niewielki ogródek. „W ten sposób szkoła wiejska stanie się wzorowym budynkiem na wsi, a wychowańcy jej, wyrósłszy na ludzi, według tego wzoru swoje chaty budować będą mogli."

Oprócz urządzenia hygienicznego szkoły jest jeszcze bardzo ważny warunek, dotychczas zupełnie lekceważony: kontrola lekarska nad uczniami wogóle we wszystkich zakładach naukowych. Sprawa ta była niedawno dość szeroko roztrząsana w Towarzystwie hygienicznem. Badanie pod względem fizycznym dzieci, wstępujących do szkoły — jak słusznie zaznaczył jeden z referentów — zabezpiecza na przyszłość od bardzo smutnych następstw. Tak np. wczesne rozpoznanie przepukliny brzusznej (raptury) lub początkowej wady serca, uwalnia dziecko od gimnastyki, która mogłaby być bardzo zgubną. Zbadanie dokładne stanu oczu i uszu ucznia pozwala usadowić go na właściwem miejscu w klasie. Dziś rozmieszczenie to jest całkiem wypadkowe, zależne od dobrowolnej umowy uczniów, lub, zwyczajem dawnym, od pierwszeństwa, wykazanego w cenzurze. Wogóle często badanie młodzieży szkolnej pod względem rozwoju fizycznego ma tak doniosłe znaczenie, jak i badanie postępów, a nawet jest niezbędne pod względem praktycznym. Np. przyczyną przytępienia umysłowego i niemożności skupienia uwagi na jednym przedmiocie są nieraz tak zwane wyrośle adenoidalne w jamie nosogardzielowej, które tamując przypływ powietrza, upośledzają ukrwienie mózgu. Wczesne rozpoznanie tej choroby uwolni dziecko od cierpień i straty czasu szkolnego. Często dziewczynka, karana w szkole przez kilka tygodni za jakieś „grymasy," zapada na ciężką pląsawicę. Zarówno opiekunowie domowi, jak i szkolni pierwsze objawy tej choroby (wykrzywienia i ruchy bezładne) biorą właśnie za owe grymasy i dręczą dziecko, dopóki choroba się nie rozwinie w całej pełni.

Badanie lekarskie również bardzo ważne ma znaczenie dla młodzieży, wstępującej do uniwersytetów lub szkół specyalnych. Znaczny procent tych wykolejonych, którzy po zmarnowaniu paru lat porzucają studya lub przenoszą się na inne wydziały albo do innych zakładów — pochodzi właśnie stąd, że młodzieniec nie zna stanu swego zdrowia i dopiero po długich wysiłkach przekonywa się, iż przyczyną jego niepowodzeń i pracy jałowej są braki lub niedomagania fizyczne.

Do stałych i ważnych obowiązków lekarza szkolnego należy walka z epidemiami chorób zakaźnych, wydawanie przepisów odpowiednich, mających na celu zabezpieczenie dzieci zdrowych od zarażenia (uwalnianie od lekcyj, zamykanie szkół, dezinfekowanie lokalów szkolnych itd.).

Niestety, dotychczas nietylko nie mamy wcale lekarzy szkolnych we właściwem znaczeniu, ale nawet gruntu odpowiednio przygotowanego. Taki stały i wyłączny stróż zdrowia młodzieży szkolnej przedewszystkiem powinien mieć odpowiednie uposażenie, ażeby się mógł poświęcić zupełnie, a przynajmniej przeważnie tak ważnemu zadaniu. Powinien przytem mieć pomoc i współdziałanie nauczycieli, a tak-

---

cznie w Natalu, wzamian czego jednak daje na skutek wilgoci—malarję. Dodać należy tutaj: szarańczę, białe mrówki, oraz jadowite muchy *tse-tse*, wreszcie zarazę na bydło. Czegóż w tym niebogatym kraju szukać przyszli awanturnicy europejscy? Cóż ich nęciło? Bryce opowiada, że południowa Afryka posiada powietrze, o jakiem zamarzyć tylko może Europejczyk, takie czyste, ożywcze a w związku z czystością powietrza zapewne wspaniałe wschody i zachody słońca nigdzie w takiej okazałości nie napotykane. Wydelikacona wyobraźnia uczonego angielskiego znalazła i po za tem w przyrodzie Afryki południowej wiele uroku. Jest to kraj samotności i ciszy. Wszystko tam jest naiwne, jak gdyby ręką człowieka nie ruszono, jak gdyby niezmienione od chwili, kiedy powstało. Pozostawiając za sobą ognisko kulturalnego życia w Kapie, podróżny odnajdzie je znowu na drugim końcu swej wędrówki, śród kopaczy złota w Witwatersrandzie, około Johanesburga. Po za tem widzi tylko sine szczyty gór ginące w przestworach czystego przez ośm miesięcy lazuru, z oddali — bezkresny, grzejący piasek pustyni Kalahari; zrzadka tylko napotyka na zapuszczonych ścieżkach tubylca albo niewielką gromadę chat. Wszystko wokoło kąpie się w jakiejś dziewiczej, pterwotnej ciszy i osamotnieniu.

Na tle takiej przyrody, śród milczących i smutnie uroczystych płaszczyzn, urobiły stulecia „duszę" Bura, potomka holenderskich Afrykanderów, którzy przed laty 60 wyzwolili się z pod jarzma angielskiego i pociągnęli do puszczy. Wiara w swoje siły niezłomna, odwaga wobec niebezpieczeństwa szalona, surowość obyczajów, brak wszelkich porywów szlachetności i miłosierdzia w stosunku do dzikich pramieszkańców puszczy — oto są cechy charakterystyczne ich psychiki, o której niejednokrotnie jeszcze mówić będziemy niżej.

Jeżeli chcemy zrozumieć usposobienie jakiegoś narodu, naturę jego rządu i politycznych zagadnień, które rozwiązać mu są dane, należy poznać jego historyę. Ten ogólnik stosuje się w dużym stopniu do Afryki południowej; mało jest krajów, gdzieby wspomnienia przeszłości i tradycye taką grały rolę, jak tutaj. Cztery narody europejskie brały w posiadanie te dzielnice: Pierwsi przybyli Portugalczycy. Diaz odkrył przylądek Burz (1488, przylądkiem Dobrej Nadziei przezwał go Jan II), Vasco da Gama dwukrotnie krążył wokoło tych nieznanych lądów, a w r. 1502 odwiedził port Sofala, zajęty przez Arabów, którzy znali i eksploatowali te strony pono jeszcze przed Mahometem. Ci ostatni ustąpić musieli przed sprawnością kupiecko-wojskową Portugalczyków, którzy w r. 1505 ufortyfikowali Sofalę i za pośrednictwem Arabów ściągali z głębi kraju wszystko złoto i kość słoniową, jaką wydostać się tylko udawało. Gdyby chcieli, mogliby byli zająć całe południe Afryki, w one czasy jednak monarchowie europejscy i ich wielkorządcy nie myśleli o kolonizacyi, ani o zdobyczach, jeno — o złocie. I dlatego też nie osiadali wcale w zdrowych okolicach ziemi przylądkowej i Natalu, a tylko w malarycznych nizinach powyżej zwrotnika koziorożca. Co najwyżej starali się z tubylcami nawiązać stosunki misyonarze portugalscy, dominikanie. Z biegiem czasu atoli misye przestały działać, forty pozapadały się i pod koniec XVIII stulecia porzuciła Portugalia wszelką myśl o dalszych podbojach. Wpłynął na to przedewszystkiem niezdrowy klimat. Febra dziesiątkowała karawany handlowe i załogę, osłabiała przedsiębiorczość kolonistów. Po za tem w braku kobiet pochodzenia portugalskiego łączyli się z tubylczemi plemionami i nader szybko zasymilowali się najzupełniej z niemi.

Na początku XVII stulecia przybywają do Afryki Holendrzy i Anglicy. Rok 1620 przynosi tu dwu angielskich kapitanów, w r. 1648 — spędza w Kapsztacie kilka miesięcy garść robotników holenderskich. Mieli nasiona ze sobą. Urodzaj był dobry i po powrocie do domu zwrócili uwagę współziomków na daleką gościnną ziemię. Oto w r. 1652 przybywają w te strony na trzech okrętach holenderskiej wschodnio-indyjskiej kompanii wychodźcy pod wodzą Jana van Riebecka. Zakładają tu ogrody warzywne, mając na widoku zaopatrywanie w jarzyny przepływające obok okręty angielskie i holenderskie. Z tych właśnie ogrodów rozwinęło się panowanie Anglików i Holendrów w Afryce połudn. Wychodźcy atoli pracować nie chcieli i wnet

że rodziców i opiekunów młodzieży. Nauczyciele jednak w przeważnej większości nie mają najmniejszego pojęcia o hygienie i nawet bardzo często stosują systemy pedagogiczne wprost zabójcze dla zdrowia uczniów. Przed paru laty coś przebąkiwano o wprowadzeniu do szkół wykładów hygieny, jako przedmiotu obowiązkowego. Myśl ta przesunęła się niepostrzeżenie, jak wiadomość brukowa. Ale zanim doczekamy się hygieny w programie szkolnym, należałoby ją wprowadzić jako przedmiot obowiązkowy dla nauczycieli. W Getyndze istnieją specyalne kursy hygieny szkolnej; w Jenie prof. Gärtner wykłada kurs hygieny dla nauczycieli. Tymczasem u nas tak ważny warunek w zakresie wykształcenia nauczycieli dotąd jest pomijany zupełnie.

Warto, ażeby Towarzystwo hygieniczne, nie poprzestając na życzeniach, wypowiadanych u siebie, przesłało do sfer właściwych wniosek w tej sprawie. Kandydaci na pedagogów, a więc słuchacze seminaryów nauczycielskich, studenci wydziału filologicznego i matematycznego, powinni przejść kurs hygieny, specyalnie dla nich przeznaczony. Obowiązek ten należałoby włożyć także na wszystkich nauczycieli już czynnych. Stworzenie w tym celu katedry hygieny przy uniwersytetach a nadto kursów samodzielnych, należy do spraw najpilniejszych. Zarówno w miastach uniwersyteckich jak i innych można znaleźć dobrych specyalistów, którzyby się podjęli wykładania tego przedmiotu.

Zen. Piet.

Listy o Galicyi.

I.

Kraków, 6 maja.

Sesya sejmowa. — Stronnictwo konserwatywne. — Lex Hupka. — Stronnictwo krakowskie a klub podolski. — Lex Wójcik.

Wczoraj została zamknięta sesya sejmu krajowego. Przez trzydzieści przeszło lat istnienia naszej autonomii, sejm galicyjski nie umiał być niczem innem, jak „wielką radą powiatową.“ Ustanawiał myta i rogatki, rozprawiał corocznie nad solą dla bydła i tępieniem myszy polnych, którym te debaty wcale nie zaszkodziły, słowem, nie podjął żadnych szerszych prac, żadnych reform, a każdą wyłaniającą się myśl reformy grzebała szlachecka większość sejmowa w jednej z niezliczonych komisyj, skąd już nigdy na świat nie powróciła. Nie chcę tu dziś rozwodzić się nad uzasadnieniem potrzeby reform w Galicyi; musiałbym w tym celu dać choć pobieżny obraz galicyjskich stosunków społecznych i ekonomicznych, co przekroczyłoby ramy dzisiejszego listu. A Galicya ma już dość złą reputacyę, nie chcę jej jeszcze bardziej psuć. Zaznaczę tylko, że najznamienniejszym objawem w obecnej dobie, wywołującym gruntowną poprawę stosunków, jest tłumna ucieczka chłopów z roli, emigracya do Ameryki i do Prus, która przybrała już zastraszająco rozmiary i we wszystkich warstwach społecznych budzi poważne obawy o przyszłość.

Mimo to, że wszyscy widzą konieczność reform społecznych, w sejmie sprawy te zaledwie słabem odbiły się echem. Natomiast wrzała tam w dopiero co ukończonej sesyi walka o „okopy św. Trójcy.“

Konserwatyści stanowią większość sejmu. Większość ta nie jest jednak jednolitą, lecz rozpada się na trzy kluby: klub krakowski (czyli t. zw. stańczycy), rolniczy i najliczniejszy — autonomistów (szlachta podolska). Te trzy kluby razem stanowią t. zw. unię konserwatywną. Najskrajniejszym w wsteczniotwie jest klub krakowski. W ostatnich czasach stał się on *enfant terrible* konserwatystów, odkąd doszli w nim do wpływu t. zw. „neokonserwatyści.“ Ci „młodzi“ stańczycy różnią się od starej stańczykowskiej szkoły tem, że podczas gdy dla tej alfą i omegą rozumu politycznego jest Szujski i pod względem teoretycznym panuje w tej szkole niepodzielnie kierunek historyczny, to „młodzi“ spędzili kilka semestrów na wykładach Schmollera w Berlinie, przywieźli stamtąd pewien zasób frazesów z dziedziny ekonomii politycznej i zamiast cytat z Szujskiego lub Kalinki, operują cytatami z ekonomistów niemieckich. Miejsce moralizatorskiego patosu, jakim się odznaczają starsi przywódcy stronnictwa krakowskiego, zajmuje u neokonserwatystów zdawkowa, płytka uczoność przeciętnego docenta. Ich pogląd na świat jest ten sam, co u „starych,“ zmodernizowali tylko nieco jego formy. Niedawno zjawili się na arenie publicznej. W kilku pseudo-uczonych rozprawkach (które były owocem świeżo ukończonych prac seminaryjnych) uderzyli na alarm i zaczęli wzywać pod broń obóz konserwatywny. Szturmem chcieli zdobyć kierownictwo partyi konserwatywnej, do czego jednak „starzy“ nie dopuścili. W każdym razie uzyskali znaczny wpływ w stronnictwie krakowskiem i udało im się nawet sprowadzić je z tradycyjnej, wydeptanej drogi i pchnąć na niepewne ścieżki eksperymentów społecznych. Na gwałt zabrali się do „reform,“ których projektami sypali jakby z rogu obfitości. Całą Galicyę postanowili wywrócić do góry dnem, aby obronić okopy św. Trójcy przed nacierającymi zastępami Pankracego, aby ująć w karby to niesforne społeczeństwo, które pozostało głuche na tyrady o „rozstroju,“ „przewrocie“ i „anarchii.“

Pierwszą z tych reform miała być *lex Hupka*. Tą nazwą ochrzczono wniesiony do sejmu imieniem klubu krakowskiego projekt świeżo kreowanego posła, dr. Hupki, bogatego właściciela ziemskiego, który od kilku lat już suszy sobie głowę nad wymyśleniem jakiegoś panaceum przeciwko ruchowi ludowemu. Wymyślił je w końcu i wniósł do sejmu. Projekt Hupki o niepodzielności gruntów włościańskich ma na celu utworzenie majoratów chłopskich o pewnem minimum parceli. Został on wniesiony pod hasłem zapobieżenia dalszemu rozdrabnianiu się posiadłości chłopskich, które już dziś doszło do tego stopnia, że więcej niż połowa istniejących gospodarstw włościańskich w Galicyi nie jest w stanie wyżywić rodziny chłopskiej, nawet przy zastosowaniu najniższej stopy życiowej. Ponieważ w kraju niema przemysłu, przeto nadmiar ludności wiejskiej, który na własnych skrawkach ziemi utrzymać się nie może, ani też z zarobku na obszarach dworskich (trwającego przez krótki sezon a wynoszącego przeciętnie 12—25 ct. dziennie) — wyżyć nie jest w stanie, musiał znaleźć upływ w emigracyi stałej lub czasowej. Emigracya wywołała podrożenie robotnika rolnego. Projekt reformy

---

postarali się o niewolników - murzynów, szeregi ostatnich kompania powiększyła o dość znaczną liczbę malajczyków, których powywoziła z posiadłości swoich na archipelagu wschodnio indyjskim. Z połączenia tych różnorodnych czynników rasowych powstała grupa etnograficzna t. z. „bydło robocze,“ dziś wypełniające odległe przedmieścia i zaułki Kapsztatu: Europejczycy w Afryce połudn. cięższą pracą nie zajmują się wcale; od 250 lat zapomnieli o niej zupełnie.

W r. 1689 przybywa z Europy nowa odsiecz, 300 hugonotów francuskich, cząstka emigrantów francuskich, którzy po edykcie nantejskim szukali ucieczki w Holandyi; ludzie uczciwi, inteligentni, przywiązani szczerze i gorąco do protestantyzmu i wolności. Dziś najlepsze rodziny w Kapsztacie wywodzą się od nich. Początkowo tworzyli odrębną gminę, używali publicznie i w domu języka francuskiego. Ale w połowie XVIII w. francuszczyzna w kolonii wymarła: hugonoci utonęli w morzu holenderskiem. Szybko też zaczął się wytwarzać specyalny typ kolonisty południowo-afrykańskiego. Nigdzie też tak prędko nie zaginął wszelki związek z ojczyzną, jak tutaj. Pierwsi osadnicy nie byli to owi „Pilgrims Fathers,“ ludzie przekonani, tysiąckrotnie związani z metropolią, którzy osiadali na wybrzeżach afrykańskich, chcąc uporczywie „czcić Boga na swój sposób.“ Owi emigranci holenderscy byli to prostacy, często gęsto podszyci jakimiś specyalnymi rachunkami z sumieniem i sądem. Żadnych stosunków z ojczyzną nie utrzymywali. Hugonoci zaś nie mieli żadnego oparcia za sobą w Europie. Francyę musieli opuścić, Holandya, która ich zagarnęła, była im obcą — ze splotu tych wszystkich warunków zrodziła się narodowość „południowo-afrykańska.“

Ludność wzrastała, trzeba było szukać nowych warsztatów pracy, ziemi i pastwisk. Pomogła tu Europejczykom ospa, która dwukrotnie, 1713 i 1755 r., wymiotła hotentotów i oddała ich siedziby w ręce cudzoziemców. Cały XVIII wiek wypełniony jest wyprawami w głąb puszczy. Osadnicy prowadzą tam życie zupełnie pustelnicze, większą część życia spędzają na wozie, który jest zarazem szałasem; na nim wraz z rodziną posuwają się, szukając coraz to nowych pastwisk dla trzody. Życie takie czyniło z nich doskonałych strzelców, zręcznie tępiących dzikie zwierzęta. Dawały im się we znaki i lwy pustyni i Buszmeni, którzy częstowali ich nierzadko zatrutemi strzałami. W tem życiu były źródła odwagi, pewności siebie i dążenia do niezależności. Ale ten rodzaj bytowania odcisnął swoje piętno na obyczajowości Boerów. Dzieci rosły w zupełnej niewiedzy, kobiety potraciły najzupełniej zmysł czystości, który wyniosły były z Holandyi (pracowali bowiem tylko murzyni), mężczyźni stawali się surowymi, dzikimi bigotami, zupełnie obojętnymi na komfort życia. Stałą towarzyszką ich była Biblia. Mowy tu być nie mogło o jakiejkolwiekbądź organizacyi. Rząd holenderski ustanowił tu wprawdzie *landrost'ów*, koczownicy jednak nie uznawali ich, oni też żadnej kontroli nad osadnikami, niemającymi stałych miejsc zamieszkania, nad t. zw. Treck-Boerami, wykonywać nie umieli. Jedyną organizacyą, jaką narzuciły im wypadki, była obrona (zaczepno-odporna) od Buszmenów. Rząd popierał takie przez wytrawnych strzelców przedsiębrane wyprawy i wyznaczał od siebie komendantów i *feldkornetów*. Te nazwy zachowały się po dzień dzisiejszy i stanowią podstawę samorządu lokalnego u Holendrów południowo-afrykańskich.

Rok 1779 przyniósł pierwszą wojnę z Kaframi, uwieńczoną powodzeniem. W tym samym czasie koloniści niezadowoleni z rządów kompanii handlowej, która dzięki monopolowi wyzyskiwała ich straszliwie, zażądali udziału w zarządzie kolonią. Wprawdzie Boerzy, mieszkający w puszczy, nie odczuwali wcale ucisku rzeczywistego urzędników; ale oni też najsilniej przechowali tradycye wolności i domagali się zniesienia zależności. Długo ciągnęły się pertraktacye: nie było żadnego rezultatu i w r. 1795 wybuchła walka. Urzędników kompanii holenderskiej wypędzono. Potworzyły się wszędzie niewielkie republiki; każda otrzymała swoją radę ludową (Volksraad). Jednocześnie atoli dał się kolonistom we znaki wpływ angielski.

***

(C. d. n.).

rolnej p. Hupki miał na celu zaradzić temu podrożeniu rąk roboczych przez stworzenie armii wywłaszczonego, pozbawionego dziedzictwa proletaryatu rolnego. To jedna strona wniosku p. Hupki: ekonomiczna.

Równie ważną, a dla wnioskodawców może nawet bardziej decydującą była druga jego strona: polityczna. Wskutek wzrostu nędzy wzrasta i rozgoryczenie między ludnością wiejską, niezadowolenie z rządów szlachty. Niezadowolenie to ujawniło się przy ostatnich wyborach, które wprowadziły do parlamentu z Galicyi 11 posłów ludowych, nienależących do szlacheckiego Koła polskiego i zwalczających je ze stanowiska interesów ludowych. Przeciwnie, w krajach, gdzie istnieje silna i zamożna średnia własność chłopska, stanowi ona najtrwalszą podstawę konserwatyzmu. Do wytworzenia takiej, względnie zamożnej kasty chłopskiej, którąby była placówką reakcyi, gwardyą szlachty, armią tych „urodzonych“ wodzów — zmierzał wniosek p. Hupki.

Według *lex Hupka* dziedziczy całe gospodarstwo najstarszy syn i spłaca resztę rodzeństwu. Na tego Benjaminka swojego zlewa p. Hupka wszelkie możliwe przywileje. I tak, za podstawę oszacowania wartości gruntu, a więc i wysokości spłat, nie powinno się brać wartości obrotowej, lecz 20-krotną wysokość dochodu kadastralnego, a zatem wartość znacznie niższą. Z tej kwoty otrzymuje dziedzic posiadłości $^{1}/_{3}$ część, a reszta rozdziela się między rodzeństwo. A i to minimalne kwoty nie mają być reszcie rodzeństwa bezzwłocznie wypłacone, lecz w przeciągu co najmniej 3 lat; jeżeli zaś rodzeństwo jest jeszcze nieletnie — dopiero po dojściu tegoż do pełnoletności. W ten sposób nieraz skrzywdzona siostra nie mogłaby wyjść za mąż przed ukończeniem 24 roku życia — dla braku posagu, a i wtedy dopiero częstokroć [illegible] musiałaby kołatać u brata o wątpliwą spłatę swej schedy. Nie dość na tem. P. Hupka wyposażył kastę chłopską, stworzoną w swej fantazyi, także i w przywileje polityczne. Dziedzic majoratu chłopskiego ma być uwolniony od wszelkich podatków na lat 10 i posiadać przy wyborach głos wirylny. Reszta rodzeństwa wydziedziczona, wypędzona z ojcowizny — ma być również odarta z praw politycznych.

Pomijając już okoliczność, że większość istniejących obecnie gospodarstw chłopskich w Galicyi — to skrawki gruntu mniejsze od wymaganego przez *lex Hupka* minimum parceli, że więc właściwie niema tu co „konserwować,“ — projekt p. Hupki sam w sobie jest czemś potwornem pod względem ekonomicznym i moralnym. Gdzie podziałby p. Hupka owe setki wydziedziczonych — w Galicyi, w kraju rolniczym, w którym niema żadnego przemysłu? W jaki sposób wyżywiłby tę armię nędzarzy? *Lex Hupka* byłaby środkiem wygłodzenia mas i wyludnienia kraju, zupełnie tak samo, jak projekt Andrzeja hr. Potockiego — zastąpienia robotników rolnych więźniami, wojskiem i dziatwą szkolną.

Równie groźne niebezpieczeństwo dla ludu wiejskiego kryje w sobie *lex Hupka* pod względem moralnym: wprowadziłaby do rodziny chłopskiej rozprzężenie, spory, niezliczone procesy, otwartą walkę między rodzeństwem wydziedziczonem a dziedzicem uprzywilejowanym.

Stwarzając całkiem nową formacyę klas społecznych: uprzywilejowaną kastę chłopską z jednej strony, a masy proletaryatu wydziedziczonego z drugiej, rozogniłaby *lex Hupka* waśń społeczną do najwyższego stopnia, wniosłaby ją w rodzinę chłopską i nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że stałaby się przyczyną niezliczonych zbrodni.

Ale dla panów krakowskich wzgląd polityczny, o którym wyżej wspomnieliśmy, był podstawowym. Wszakże i pod tym względem okazali rażące krótkowidztwo. Nie można się łudzić, by stworzenie nielicznej uprzywilejowanej kasty chłopskiej, tej gwardyi reakcyi, opłaciło im równoczesne wytworzenie szerokich niezadowolonych, rozgoryczonych mas proletaryatu bezrolnego. Stwarzając garstkę obrońców, stworzyliby sobie zarazem miliony wrogów. Ale panowie krakowscy zacietrzewili się i oburącz chwycili pomysłu stworzenia sobie „gwardyi“ chłopskiej. Lecz właśnie to, co stanowiło dla nich najważniejszy motyw, stało się przyczyną upadku projektu p. Hupki.

To, co dla szlachty zachodnio-galicyjskiej z powyższego punktu widzenia przedstawiać mogło jakąś korzyść polityczną, byłoby wprost szkodliwem pod względem politycznym dla szlachty podolskiej. Podolscy magnaci rolni nie mieli wcale interesu w stworzeniu silnego średniego stanu chłopskiego u siebie, bo przez to wzmocniłby się tylko żywioł rusiński. Bogatemu chłopu rusińskiemu aniby się śniło zostać obrońcą okopów św. Trójcy, przeciwnie, byłby to daleko poważniejszy wróg szlachty polskiej, aniżeli nim być może obecny, zgnębiony biedą, ciemny lud rusiński. Na stworzeniu majoratów chłopskich w Galicyi wschodniej zyskałyby rusińskie stronnictwa narodowe, nie tamtejsza szlachta polska. Wzgląd zaś ekonomiczny nie był dla szlachty polskiej dość silnym argumentem, aby mógł zagłuszyć te obawy polityczne. Albowiem w Galicyi wschodniej niema takiego braku taniego robotnika rolnego, jak w powiatach zachodnich, Rusin jest daleko potulniejszym, daleko podatniejszym materyałem do wyzysku, niż Mazur. Dla wschodnio-galicyjskich właścicieli ziemskich nie istnieje jeszcze konieczność stworzenia sobie tanich rąk roboczych. Dla nich projekt p. Hupki nie przedstawiał więc żadnej korzyści ekonomicznej, a groził wielkiem niebezpieczeństwem politycznem. I dlatego to klub autonomistów, złożony wyłącznie ze szlachty podolskiej (przeważnie ormiańskiego pochodzenia i obrządku) oświadczył się odrazu stanowczo przeciw *lex Hupka*. I tylko temu rozłamowi w łonie „unii konserwatywnej“ zawdzięczyć należy upadek tego projektu.

Stronnictwa opozycyjne stanowią w sejmie mniejszość, więc nie byłyby w stanie własnemi siłami go obalić, chociaż zwalczały solidarnie i z zaciętością. Bardzo szczęśliwym był pomysł „unii ludowej“ (w której skład wchodzą wszyscy posłowie chłopscy różnych odcieni) — ośmieszenia wniosku Hupki zapomocą kontrastu. Dokonał tego wniosek p. Wójcika, domagający się ustanowienia *maximum* wielkiej posiadłości ziemskiej w przeciwstawieniu do wniosku Hupki, który domagał się ustanowienia *minimum* parceli chłopskiej. Wniosek p. Wójcika zmierzał do oznaczenia obszaru, jaki jednostce posiadać wolno i do indemnizacyi, czyli wykupienia przez kraj przewyżki tych obszarów, które przekraczają powyższą granicę. Poseł Wójcik motywował swój wniosek tem, że średnia własność ziemska znika, a wzrasta liczba latyfundyów, obejmujących po 5,000 morgów ziemi; już obecnie 53 właścicieli posiada więcej, niż po 10,000 morgów; ogółem skupili oni w swem ręku siódmą część kraju, uszczuplając obszar posiadany przez średnią i mniejszą własność ziemską. Co należy zrobić z tą wykupioną nadwyżką ziemi, tego p. Wójcik nie określił w swym wniosku, lecz tylko w mowie swej, uzasadniającej wniosek, zrobił następującą wzmiankę: „Jeżeli tym panom zostawimy po 5,000 morgów, to na reszcie 1,309,612 morgach może powstać 65,480 20-morgowych gospodarstw włościańskich. Gdybyśmy nie po 5,000, ale po jednym tysiącu morgów im zostawili, co byłoby zupełnie wystarczającem dla jednej pańskiej rodziny, to gospodarstw 20-morgowych utworzyć możnaby jeszcze krocie.“ Można się zgodzić na takie zużytkowanie wykupionej ziemi lub nie, ale w każdym razie niezmiernie ważnem jest to, co wypowiedziano w sejmie z większością szlachecką: że, jeżeli mowa o reformach rolnych, to „nie tam sięgać należy, gdzie jest mało ziemi, ale tam, gdzie dużo!“ Po raz pierwszy posłowie ludowi w sejmie odważyli się szlachcie bez ogródek powiedzieć: *Latifundia perdidere Italiam!*.

Wniosek p. Wójcika odrzucono *a limine*. Niemniej jednak spełnił on swoje zadanie: odebrał projektowi Hupki opinię jedynego lekarstwa na rozdrobnienie gruntów włościańskich.

Wniosku p. Hupki naturalnie nie odrzucono *a limine*. Wniesiony na pierwszem posiedzeniu ostatniej sesyi sejmowej, kołatał się on po sejmie aż do ostatniego posiedzenia tejże sesyi, na którem pogrzebano go ostatecznie. Wczoraj, późnym wieczorem, tuż przed zamknięciem sesyi sejmowej, został bez żadnej dyrektywy odesłany do Wydziału krajowego, co równa się odrzuceniu w grzecznej formie.

Tak więc znikł z powierzchni polityczny ton tak zapowiadany wniosek o niepodzielności gruntów włościańskich. Pozostał jednak nie bez zasługi: poruszył opinię publiczną, spowodował sojusz stronnictw ludowych i zdyskredytował gruntownie butne stronnictwo krakowskie.

Vivus.

IDEAŁ PRAWDY

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

V.

Ponieważ człowiek żyje w społeczeństwie, najważniejszym warunkiem jego szczęścia osobistego będzie zawsze możliwie najdoskonalszy bieg machiny społecznej. I to tylko społeczeństwa pomyślnie rozwijać się mogą i w tych tylko będzie największa liczba jednostek szczęśliwych, w których duch społeczny kwitnie, w których jednostka niemal każda rozumie, że tylko zdrowe stosunki społeczne dają najlepsze warunki bytu jednostkom.

Bez porozumiewania się o złem i dobrem, o pożytecznem lub szkodliwem i bez zgodnego działania w sprawach społecznych, niczego osiągnąć, niczego zbudować nie można. Porozumiewanie się i działalność zgodna wtedy tylko być może owocną, gdy sądy i mniemania, dążenia i czyny jednostek wypowiadane i wykonywane są uczciwie, tj. jeśli tylko dobro społeczne mają na celu, nie widoki uboczne i jeżeli słuszne budzą zaufanie. Bez wzajemnej ufności obywateli w sprawach publicznych nie może istnieć pomyślny rozwój życia społecznego, nie mogą przeto być zabezpieczone interesy duchowe i fizyczne jednostek. Miłość prawdy i cześć dla niej niezachwiana — w znaczeniu etycznem, to pierwszorzędna cnota społeczna. Przytem samo poczucie prawdomówności i uczciwości darzy nas wzruszeniami tak dodatniemi i rozkosznemi, że wedle omówionej już wielokrotnie zasady pomyślnego wpływu na nasz ustrój wzruszeń dodatnich, sama cnota prawości i uczciwości, czyli cnota miłości prawdy jest wysoce pomyślnym warunkiem zdrowia fizycznego, a będąc razem owocem zdrowia duszy, staje się ze swej strony warunkiem jego nietykalności.

I zaprawdę nie są przyjaciołmi ojczyzny swojej ci, którzy biorąc udział w działalności stronnictw, sądzą, że obrażając w celach stronniczych ideał prawdy przez

świadomo przedstawianie w fałszywem świetle czynów, motywów lub dążności swoich przeciwników czynią słusznie i że w tym razie cel uświęca środki. Strzeżenie zasadniczych praw moralności społecznej jest niezachwianą podstawą dobra powszechnego i te podstawowe zasady dobra powszechnego muszą przedewszystkiem uszanować i jak nietykalną cześć świętość ci, którzy w urzeczywistnieniu się dążności własnego stronnictwa widzą najdokładniej doskonalszy jeszcze wzrost tego dobra. Przekonanie to, niestety, zbyt często uchodzi za błędne!

Dziwnem to się może wyda, ale niemniej jest prawdziwem: że dzięki potężnemu czynnikowi ogólnego rozwoju istot ożywionych, jakim jest *dobór naturalny*, moralność i cnoty muszą się zwiększać pośród ludzi; a to dlatego, że jak już wielokrotnie zaznaczyliśmy, cnoty są źródłem najdodatniejszych wzruszeń, wzruszenia dodatnie podnoszą odporność organizmu, organizmy odporne dzięki prawu dziedziczności przekazują potomności fizyczne i duchowe zalety. Jak do normalnych właściwości ciała należą tylko zalety fizyologiczne, tak do normalnych właściwości ducha należą zalety duchowe, a pomijając wyjątki, w prawidle ogólnem: normalne ciała zawierają normalne dusze. Cecha prawości charakteru i miłości prawdy jest normalną, a więc razem pożyteczną właściwością człowieka, czego dowodzi już ta okoliczność, że cechą organizmów zwyrodniałych pod względem i fizycznym i duchowym jest szczególniejsze zamiłowanie do kłamstwa. Jakkolwiek prawość charakteru jest cechą normalną człowieka, należy wszakże do tych cech zmiennych, na które wpływy zewnętrzne silnie oddziaływać mogą. Wychowanie więc i budzenie świadomości pożytku hygienicznego tej cechy, mogą w wysokim stopniu wpływać na nią umacniająco i sprzyjać jej rozwojowi.

Prawdomówność jest bez żadnego imperatywu etycznego tak wrodzoną, tak prawidłową cechą zdrowego organizmu, że rodzi wzruszenia dodatnie, które ze swej strony korzystnie wpływają na fizyologiczną stronę osobnika. Prawdomówność potęguje w nas poczucie własnej godności i napawa pewnem uczuciem szlachetnej dumy, która nas podnosi, działa podniecająco na innerwacyę, prostuje nas, poprostu podnosi w znaczeniu fizycznem, podnieca krążenie, powoduje spokój ducha dziwnie krzepiący i sprzyjający zdrowiu fizycznemu.

Jakież, oprócz zdecydowanego zwyrodnienia, są z drugiej strony źródła pogardy prawdą? Oto uczucia i wzruszenia, które same przez się podkopują podwaliny duchowego i fizycznego zdrowia społeczeństwa i jednostek, a mianowicie: złość, mściwość lub mniej winne ale niemało rujnujące zdrowie jak: zadaleko idąca ambicya, próżność, łaknienie gorączkowe i bezwzględne uciech i szałów ziemskich.

Jeżeli w poszukiwaniu prawd nowych, miłość prawdy niczem innem się nie ogranicza tylko naukową wartością prawdy.

Jeżeli miłość prawdy w sztuce ograniczoną jest warunkami piękna i uszlachetniania duszy ludzkiej a co najmniej zastrzeżeniem, by nie była trucizną dla ducha i ciała.

Jeżeli miłość prawdy, przy rozpowszechnianiu jej, tj. przy nauczaniu ograniczoną być musi prawdziwym pożytkiem nauczanych.

Jeżeli miłość prawdy w życiu publicznem i społecznem jest obowiązkiem i świętością, to miłość prawdy w życiu prywatnem jest przedewszystkiem służebnicą miłości bliźniego, ogranicza się przeto jaknajściślej warunkiem: nieprzyczyniania się w żadnym razie do krzywdy i cierpienia bliźnich, nie przysparzania tragedyj życiowych.

Jakkolwiek tedy wielką i doniosłą ze stanowiska hygieny ciała i duszy i w prywatnem życiu jest miłość prawdy, to przedewszystkiem tu być musi nierozerwalnie sprzężoną z miłością dobra. Łatwiej czasem przychodzi kochać prawdę, aniżeli kochać bliźnich. Bywają uczciwi i prawi egoiści, którzy z dumą mogą o sobie powiedzieć: „Ani razu w życiu nie minąłem się z prawdą“ ale przyciśnieni, musieliby z pokorą i rumieńcem wstydu na czole wyznać: „ani jednej łzy w życiu bliźniemu nie otarłem.“ Są tacy, którzy bez źdźbła litości dla zabłąkanych nędzarzy mocą tak zwanej słuszności prawnej, twardem sercem i krwawem okrucieństwem, do ostatniej niemal krwi kropli należności swej dochodzili, ale nigdy bezprawiem lub ominięciem prawdy sumienia swojego nie splamili i dumni są z siebie; są tacy, którzy warg swoich nigdy kłamstwem nie pokalali, ale nigdy na ołtarzu dobra społecznego ofiary nie złożyli. Tego rodzaju prawość, jakkolwiek sama przez się jest cnotą, niewątpliwie godną uznania wysokiego, jest niemniej bardzo tanim sposobem budowania sobie wewnętrznej samowiedzy niepokalanej cnoty życiowej. Taką jednostronną cnotą społeczeństwa nie zakwitną, ani w nich obywatele interesów ducha swojego i ciała nie zabezpieczą. Albowiem umiłowanie prawdy wielką jest cnotą, ale tylko w związku nierozerwalnym z umiłowaniem dobra. Cześć należy prawdę, ale tylko jako ołtarz, który dźwiga na sobie przenajświętsze cyborium miłości!

W życiu zwłaszcza potocznem zachodzą okoliczności, w których wielka miłość ideału dobra wymaga nawet zaparcia się ideału prawdy. Nie będziemy rozwodzić się nad pospolitemi koniecznościami zasłaniania prawdy, a nawet jej maskowania, gdzie wyjawienie jej groziłoby zdruzgotaniem życia danej osoby lub rodziny, jak np. zatajenie czasowe ciężkiej choroby osoby blizkiej, groźnego niebezpieczeństwa albo katastrofy tragicznej. Istnieją kłamstwa szlachetne na podobieństwo onej szaty białej, przywdzianej przez matkę wobec ukochanego syna, wstępującego na rusztowanie śmiertelnej kaźni...

W życiu potocznem, w pożyciu z bliźnimi naszymi prawda z pewnością jest środkiem, ale nie celem, celem jedynym: prawdziwe ich dobro!

I tu, bez wątpienia, w prawidle ogólnem *prawda i dobro najharmonijniej idą wraz w parze*, a prawda jest czynnikiem najskuteczniej dobru sprzyjającym; ale nie wolno niezachwianej świętości obowiązku prawdy przenosić bezwzględnie i bez wszelkich zastrzeżeń do życia codziennego, do stosunków między jednostkami, albowiem mogłyby, bardzo wyjątkowo wprawdzie, z takiego nazbyt bezwzględnego stosowania zasady, nadto dotkliwe wypływać okrucieństwa względem bliźnich naszych. W pożyciu z nimi obowiązuje przedewszystkiem zasada: „Żyj sercem i patrz w serce!“ A obrażanie w wyjątkowych razach ideału prawdy dla ideału dobra nie jest bynajmniej wchodzeniem w kompromis z sumieniem swojem, ale najpodnioślejszym w takich wyjątkowych, powtarzamy, razach, rozkazem sumienia naszego, gdy na najpierwszem miejscu dyktuje nam ono wielką, niespożytą i niezachwianą zasadę: kochaj bliźniego!

W nauce prawda, to zjawisko realne, które w danym razie jest świadectwem prawa oderwanego, a tam gdzie prawda sama jest natury oderwanej, jest ona samą, wszechwładną; w nauce nic obok prawdy niema, prócz jej samej.

W życiu natomiast prawda jest abstrakcyą, ale rzeczywistością, zjawiskiem istotnem to czyn, który jest złym albo dobrym, który przysparza lub koi cierpienia, daje lub odbiera bliźniemu szczęście. W życiu obok prawdy, króluje *dobro*. I dlatego w życiu należy bacznie odróżniać obrazę prawdy, a więc tylko abstrakcyi od obrazy rzeczywistych interesów bliźniego, która nazywa się krzywdą ludzką! Urąga obowiązkowi moralnemu, ktokolwiek gwoli hołdowi niezachwianemu prawdy życiowej, nurza sztylet moralnej tortury w serce bliźniego i bodaj go jeszcze w ranie krwawiącej obraca.

Niewątpliwie, w zwykłym rzeczy porządku, jak to już wzmiankowaliśmy, prawda w życiu, której dziećmi są: prawość, szczerość i wierność jest najdzielniejszą dźwignią dobra i dlatego prawda jest w ogólnem prawidle dobra podwalin[illegible] właśnie przez wzgląd na to, że dlate[illegible] doniosłą jest w życiu prawda, że ona warunkuje istnienie i wzrost dobra, wychodzi na prawdziwą obrazę majestatu prawdy, poświęcanie dla niej ideału dobra, albowiem tem samem zaprzecza się najwyższego jej dostojeństwa.

Kiedyśmy się w nieba sklepienie wpatrzyli, w myriady gwiazd, w myriady słońc, w ciżbę światów, w nieskończoność przestrzeni, w nieskończoność czasu — czem jest, zawołaliśmy, wobec ogromu tego pyłek, który zwie się ziemią naszą? czem długość naszego żywota? a w tem mgnieniu nieledwie życia naszego czem troski nasze, radość, zawody, zwycięztwa?!

Ale to niedoskonałość zmysłów naszych i ograniczoność umysłu podziwia li ogrom czasu i li ogrom przestrzeni.

Wszakże zjawisko trwające wieczność, jak zjawisko chwili jednej, to równe są cuda, bo zjawiska krótkotrwałe stanowią treść trwania wiecznego i jego istotę.

Atom, zarówno jak całość wszechbytu to równe są cuda, bo atomy to stanowią treść i istotę wszechmateryi.

Siła twórcza w najdrobniejszem zjawisku przejawia niepojętą potęgę swoją

I dlatego, pomimo ogromu czasu i [illegible]strzeni, ziemia w swych granicach [illegible] światem wielkim, a człowiek czujący w granicach istoty swojej jest zjawiskiem ważnem, człowiek jeden cierpiący — zjawiskiem wielkiej doniosłości. I doprawdy, nie żar atmosfery słonecznej, która na miliony mil odległej ziemi jeszcze tropikalne powoduje gorąco; nie wielość nieskończona ciał niebieskich, w dziwnej harmonii krążących śród przestrzeni: nie szybkość światła, które w sekundę każdą przebiega wiele dziesiątków mil: nie tajemniczy atom chemiczny, który pomnożony przez nieskończoność stanowi treść materyi wszechświata; nie siła ciążenia powszechnego, która światy wszystkie dźwiga i kojarzy — dla nas ludzi maluczkich, najpotężniejszem zjawiskiem w przyrodzie jest cierpienie ludzkie, jest ludzki ból! A zwalczanie tego cierpienia jest najpodnioślejszym zabiegiem i obowiązkiem ludzkiej świadomości i woli.

Nie dano poznać człowiekowi absolutu prawdy i to wielkie, przygnębiające dlań upokorzenie, ale wszczepiono weń niestłumione prawdy łaknienie, niezwalczone pożądanie jej. I czołga się w głębokiej pokorze u wrót ciemnicy swej człowiek niestrudzony w pracowitem upatrywaniu półcieniów, które przez maluczkie szczeliny, na wieki niepoznane światło prawdy na ściany ciemnicy jego rzuca. Daremnie geniuszu ludzki wznosisz zuchwałą dłoń twoją z pochodnią poznania — pochodnia ta roztacza słabiutki zaledwie mrok w otchłani tajemnic, śród których świadomość twoja się poczęła, prawdy istota nie dla ciebie!

Ale w mądrej szczodrobliwości swojej przyroda obdarzyła człowieka innym cennym klejnotem—*absolutem miłości*. Wszakże człowiek nie chce zrozumieć drogocenności klejnotu tego. W pyle upokorzenia i razem w tumanie zarozumiałości żebrze lub żąda światła prawdy a nie spostrzega,

że istotną aureolą jasności i majestatu wieńczyć go zdolna wielka władza miłości. Nie chce zrozumieć, że i ta cząsteczka światła, ten cień niedostępnej dla niego prawdy, na to jedynie mu jest danym, by oświecał przed sobą coraz lepiej drogi miłości.

Cześć należy *prawdę* nabożnie ale tylko jako sferę, w której unosi się anioł miłości. Bo zaiste, jeżeli prawdą jest świat cały w swej nieskończoności i odmienności — to Bogiem władnącym w tym świecie jest — miłość!

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Stopnie potrzeb.

Czytelnicy niewątpliwie dostrzegli, że istnieje pewien szereg potrzeb, które ogół uznaje za ważne, a mimo to stale okazuje im obojętność. Objaw ten zresztą dojrzeć można we wszystkich społeczeństwach, a nawet w każdem życiu jednostkowem. Zastanówmy się: kto z nas nie wie, że dla własnego dobra powinien coś robić, a nie robi — poprostu dlatego, że nie jest w stanie z dostateczną mocą swoim rozumem oddziałać na wolę? Niezliczoną ilość razy np. usłyszał od lekarza i sam się przekonał o tem dowodnie, że praca umysłowa w nocy szkodzi mu; jednakże nie zmieni trybu zajęć. Często zaś upór taki jest zbyt świeży, ażeby go można było tłomaczyć zadawnionym nałogiem, który właściwie dopiero się zakorzenia. Podobnie zachowują się narody. Od stu lat wszyscy powtarzają Francuzom i oni sami sobie, że po za obrębem własnych spraw są dziwnie ograniczeni w swej wiedzy — a chociaż wielokrotnie przekonali się o szkodliwości swego nieuctwa, trwają w niem ciągle. Nie sądzę, ażeby między nami znalazło się wielu takich oryginałów, którzyby nie przyznawali, że czystość jest niezbędnym warunkiem zdrowia i kultury życia. A przecież jesteśmy straszliwie brudni. Miliony nas — zwłaszcza chłopi i Żydzi — albo się nie myją codziennie, albo też obmazują się wodą wyplutą na ręce z ust, które im służą zamiast miednicy. Spojrzyjcie na tych ludzi, należących do społeczeństwa ucywilizowanego: szyja, głowa, ręce pokryte grubą warstwą zbitego i sklejonego kurzu, ziemi, nawozu, potu i wszelakich tłuszczów, od których na kilka łokci rozpościera się ostra woń. Ileś tam lat pokutuje w duszach filantropijnych i w składzie nieurzeczywistnionych projektów myśl urządzenia kąpieli ludowych. Wnosząc z trudności porodu tej instytucyi, zdawałoby się, że jest ona jakiemś olbrzymiem przedsięwzięciem, wymagającem wielkich kapitałów i trudów. Tymczasem jest to kwestya, którą każda wioska szwedzka rozwiązuje sobie w ciągu paru tygodni. I gdyby tam powiedziano, że w pewnym kraju, uznającym się za oświecony, bankierzy, lekarze, publicyści, słowem, gromada sił umysłowych i pieniężnych rozprawia lata całe o potrzebie łaźni ludowej, niktby nie uwierzył, jak nie uwierzyłby, że zamożny włościanin, który może wydać kilkadziesiąt rubli na chrzciny lub na pogrzeb, żałuje kilkunastu kopiejek na miskę, któraby mu służyła za umywalnię.

Chyba również nie brak nam ani jednego dowodu, przekonywającego, że obecny stan naszych dróg publicznych wyrządza nam ogromne szkody materyalne, utrudnia stosunki handlowe i powiększa znacznie koszty produkcyi. Można nie zrozumieć korzyści z nauki pisania lub geografii, ale niema tak ograniczonego prostaka, któryby nie pojmował, że zła droga zamordowywa konie, psuje wozy i uniemożliwia szybką komunikacyę. Mimo to lud nasz uważa obowiązki szarwarkowe za ciężką powinność, od której wyłamuje się wszelkimi wybiegami.

Pozostaje on zresztą w zupełnej zgodzie z ogólnym nastrojem społeczeństwa, dla którego pewne sprawy pierwszorzędnej doniosłości pozostają ciągle małoważnemi. Nikt np. nie zaprzeczy, że wychowanie dzieci musi być i w wielu krajach jest przedmiotem szczególnej troski, rozmyślań i starań. A przecież wiadomo, że ono bardzo płytko nas wzrusza, nie zajmuje, nudzi. Pisma pedagogiczne nie mają prenumeratorów, artykuły dotyczące kształcenia umysłu lub woli, nie są czytane po za szczupłem kołem nauczycieli i nie mogą się nawet mierzyć z zajęciem, jakie budzi sprawozdanie z koncertu lub sztuki teatralnej.

Nie chodzi mi tu o wyławianie grzechów społecznych i przyszywanie do nich morałów, a te objawy, które wyżej przytoczyłem, mają tylko znaczenie przykładów. Przyjmuję fakty, jakimi są, bez chęci wyrywania z pod nich gruntu, pragnę jedynie docieć, co one mówią. Czyż dowodzą nam, że jesteśmy niechlujni, lekkomyślni, niedbali o dobra, które należą do głównych skarbów i fundamentów życia? Zapewnie, ale zdaje mi się, że po za nimi tkwi utajona przyczyna, która tłomaczy ich istnienie, a zarazem nadaje im trwałość. Każdy z nas bardzo łatwo dostrzeże w sobie i w innych stałą lub czasową hierarchię zasad i uczuć, niezależną od bezwzględnej ich wartości. Może sobie cały świat mniemać, że gra w karty, wyłączne karmienie się jarzynami, zbytkowna odzież, posługiwanie się francuzczyzną lub rozwijanie samowoli w dzieciach jest szkodliwem, możemy nawet my sami całkowicie lub częściowo przyznawać słuszność takiego poglądu, mimo to zachowamy własne ustopniowanie naszych upodobań, zarówno ujemnych, jak dodatnich, świadomych, jak bezwiednych. Ihering rozwinął bardzo trafne spostrzeżenie (w „Walce o prawo"), że gdybyśmy ten sam czyn dali do osądzenia rozmaitym grupom przysięgłych — wojskowym, kupcom, rolnikom — wydaliby o nim wyroki odmienne. Tak np. wykroczenie przeciwko honorowi najsurowiej ukaraliby wojskowi, a najłagodniej kupcy, natomiast naruszenie praw własności byłoby najbardziej potępione przez rolników, a najsłabiej — przez wojskowych. W każdej bowiem z tych kategoryj ludzi pod wpływem różnych pojęć i wymagań narodowych wytwarza się inna skala etyczna. Ta różnorodność miar występuje również w dziedzinie naukowej, artystycznej, ekonomicznej itd. Dla filologa daleko ważniejszą zdobyczą wiedzy byłoby zbadanie powstania *Iliady*, niż analiza chemiczna słońca, dla przyrodnika — odwrotnie. Jedni nam dowodzą, że pomyślność narodu zależy od ilości ubezpieczeń, drudzy, że od podniesienia rolnictwa, inni, że od rozwoju przemysłu fabrycznego, gramatyki łacińskiej, stajni wyścigowej, rozpłodu arystokracyi, a znajdziecie nawet takich, którzy są przekonani, że szczęście ogółu bezpośrednio zawisło od dochodu ich synów i posagu córek. Suma poglądów jednostkowych daje jakąś wypadkową, którą można nazwać poglądem społeczeństwa. Odpowiednio zaś do przewagi tych lub owych układa się pewna hierarchia jego potrzeb i dążeń, która wyznacza stosunkową wartość każdej sprawie i każdemu celowi — często wbrew logice i słuszności lub obcym wzorom. Jeżeli tedy naród pozostaje obojętnym i głuchym wobec najdonioślejszych przedsięwzięć i najwymowniejszych nawoływań, to nie świadczy o jego przytępieniu lub nieuczciwości, lecz o różnicy w pojmowaniu i odczuwaniu wartości dóbr życia zachodzącej, między nim a jego nauczycielami. Galerya obrazów jest instytucyą bardzo pożyteczną, gdyby wszakże ktoś wezwał dziś Burów do założenia takiej galeryi, wzruszyliby ramionami. Bo najwyższą dla nich wartość ma obecnie to, co służy do pokonania Anglików.

Rasy, plemiona, narody posiadają wiele przyrodzonych usposobień, będących stałemi właściwościami ich charakteru; ale obok tego stałego rdzenia mają pewne przypadkowe i czasowe potrzeby i cele, które warunkują kierunek ich pragnień i dążeń. Ten sam naród inną układa sobie skalę pożądań w jednej epoce, a inną — w drugiej. Jeżeli przypatrzymy się naszemu społeczeństwu, to dostrzeżemy w niem obecnie wyraźną obojętność dla spraw praktycznych. O ile ona jest wynikiem naszej natury, o ile wytworem czasu — trudno odgadnąć, to wszakże nie ulega wątpliwości, że przynajmniej częściowo płynie z tego drugiego źródła. Zdzierają się u nas gardła i pióra krzykiem i pisaniem, nawołującem do dbałości o zdrowie fizyczne, o fachowe kształcenie młodzieży, podnoszenie rzemiosł, pszczelnictwa, ogrodnictwa itd. — a ogół słucha tych głosów chłodno lub zatyka sobie uszy. Wyznajmy szczerze: wszystkie rozprawy w stowarzyszeniach, wszystkie artykuły w pismach — hygieniczne, pedagogiczne, ekonomiczne, ogrodnicze — spływają po naszych duszach, nie przesiąkając w nie głęboko. Czegóż chce ten ogół, rozmiłowany w sztuce, tłoczący się do kas teatralnych i koncertowych, prowadzący żywe spory o technikę malarską, Nietzschego, dekadentów itp., to społeczeństwo ubogie, głodne, bose, nieumyte, z ludem, który sypia na nawozie i buty uważa za zbytek? Czego ono żąda i czego potrzebuje do szczęścia? Ani ono, ani ci, którzy je budują, nie umieliby odpowiedzieć ściśle. Jemu i im wiadomo tylko, że ustopniowanie jego pragnień (nie zawsze uświadomionych) różni się w bardzo wielu punktach od tej ich hierarchii, którą układa rozum praktyczny. Ono weszłoby na wskazywaną drogę, ale jakieś niezłomne siły odciągają je w inną stronę. Gdybyśmy stopili myślą te miliony ludzkie w jednego człowieka, powiedziałby on nam na swoje usprawiedliwienie: Ja zupełnie pojmuję pożytek ze zdobycia wielu dóbr materyalnych, których mi brak; nie przeczę, że powinienem starać się o to, ażeby nie być głodnym, obdartym, brudnym, ażebym mieszkał w ciepłej i widnej izbie, oddychał świeżem powietrzem, jeździł po bitych drogach, nie marniał fizycznie, nie dziczał moralnie — ja to oceniam należycie, ale cóż pocznę, kiedy mnie rwie ku sobie, opanowywa mój umysł i serce jakiś ideał życia, w którym obok tego wszystkiego jest jeszcze coś więcej, co właśnie posiada największą dla mnie wartość? Muszę wprzódy znaleźć się w tej postaci istnienia, a wtedy będę pamiętał o hygienie, drogach, pszczołach i innych produktach lub warunkach pomyślności. Nie trudno byłoby dowieść takiemu marzycielowi, który albo pożąda gwiazdy z nieba, albo nawet nie zdaje sobie jasno sprawy z tego, czego pragnie, że on dla rojeń odległych nie powinien poświęcać potrzeb bliskich, że całe buty nie przeszkadzają ani poezyi, ani filozofii, ani porywom idealnym, że on w dążeniach swoich musi zmienić kolej ich następstwa — on mimo to pozostanie sobą.

Jeżeli tak mówi lub tak czuje społeczeństwo, możemy a nawet powinniśmy wykazywać mu szkodliwość pomijania i lekceważenia elementarnych potrzeb życia; ale z drugiej strony nie należy go za upór sądzić zbyt surowo i łudzić się co do skuteczności głosów doradczych. Cokolwiek i jakkolwiek wyrozumujemy i zalecimy, ogół przedewszystkiem pójdzie w pragnie-

niach i czynach po linii wypadkowej swych usposobień i upodobań. I nieraz zdarzy nam się, że wtedy, kiedy my mu będziemy podsuwali przepisy hygieny, on całą swoją uwagą zatonie w wojnie afrykańskiej; kiedy my go wezwiemy do uprawy chmielu, on rozczytywać się będzie w poezyach Konopnickiej; kiedy my mu zachwalimy podręcznik rachunków, on będzie kupował śpiewniki. I właśnie wielkim obowiązkiem i zadaniem wszelkich badaczów i przewodników społeczeństwa jest możliwie dokładne poznanie, jak ono stopniuje swoje potrzeby i dążenia.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

III.

Antoni Lange: *Przekłady z poetów obcych*, 2 tomy. Warszawa. 1899. — John Ruskin: *Malarstwo i poezya*, przełożył z angielskiego A. Lange. Warszawa, 1900. — *Pieśni Anakreonta*. Lwów, 1900.

Widzieliśmy, z jaką wielkopańską niedbałością obszedł się tłomacz z Leconte de Lislem. O Mallarmégo niema już co się upominać. Spojrzymy wszelako na jego „Okno.“ Umierający starzec zwleka się z łoża, zapomina o cuchnących swych ranach, o wyziewach szpitalnych, i oto przycisnął twarz do okna, wpatrzony w skąpany słońcem zachodu krajobraz. I ja też — dodaje poeta — szukam okien, do których mógłbym przylgnąć; chcę, odwróciwszy się od rzeczywistości, w zwierciadlanych ich szybach ujrzeć odbicie wieczystego ideału. P. Lange zwykłym sobie trybem zastąpił *linie* — *liliami*, stworzył „błyskawiczne (?) kwiaty“ itd. Cóż się jednak dzieje z poetą u okna, którem jest sztuka lub świat mistyczny? „Niestety, *tu na dole* jest pan. Jego władza nawet mi w tem ukryciu zadaje tortury...“ Jaki pan? Jakie są czynności i przymioty jego? Nie wiadomo. Zwróćmy się tedy do oryginału.

„Mais, hélas! *Ici-bas* est maître; sa hantise vient m'écoeurer parfois jusqu'en cet abri sûr...“ A zatem nie „tu na dole jest pan,“ lecz „tutaj“ (tj. życie, rzeczywistość w przeciwieństwie do światów *po za* życiem i rzeczywistością), więc „Tutaj“ jest *panem*... Teraz myśl poety staje we właściwem świetle. Tak też to rozumie Miriam, kiedy tłomaczy: „Lecz biada! Rzeczywistość jest panem; jej tchnienie i w tem pewnem schronieniu ściga mię...“

Nie za Mallarmégo jednak mam największy żal do autora, lecz że nie oszczędził Rossettiego. Czemuż go było nie ominąć? Nazwisko tego poety nieraz już się obiło o uszy czytającego ogółu. Należał on do bractwa prerafaelitów, a charakter uduchowienia i ekstazy, jakim się odznaczały ich dzieła, zachowuje również w wysokim stopniu poezya Rossettiego. Może ze wszystkich jego utworów najpowszechniej jest znanym: *The blessed damozel*. Kochanka poety wstąpiła w progi niebios, lecz szczęście jej nie jest zupełne, gdy niema ukochanego u jej boku. Ale mieć go będzie, razem ręka w rękę pójdą przed oblicze Najświętszej Panny, razem zbliżą się do przybytku, w którym istota życia, miłość, Duch święty jest utajony — zgodnymi głosy wyśpiewają chwałę Przedwiecznego. Oto stanęła w przedsionku niebieskim i spojrzała w głąb otchłani: jakieś światełko tam drga, to lot aniołów... Może duszę *jego* unoszą w dziedziny nadgwiezdne? Nie, jeszcze nie... Wtedy ta najczystsza, ta błogosławiona, wybrana, najszczęśliwsza ukryła twarz w dłoniach i gorzko załkała. Streszczenie tego poemaciku nie może dać wyobrażenia o sile rzewnego uczucia, o ogarniającej serce tęsknocie, która się w tym utworze mieści, o eteryczności i piękności formy. Lecz jeżeli chcecie dowiedzieć się, czem *nie* jest to dzieło, przeczytajcie „Dzieweczkę wybraną“ p. Langego. „Zaledwie jeden dzień słoneczny minął, jak w chórach Boga została aniołem. W spokojnem oku i nad jasnem czołem był jeszcze podziw, co dotąd nie spłynął, *chociaż na ziemi* ten wybrany kwiatek *dwudziestu nawet nie przebywał latek*. Jeden wśród ludzi wieki w nich oblicza...“ Owo „kwiatek“ i „latek“ — to wyraz czułostkowości, której u Rossettiego ani śladu, lecz nie głębokiego i szczerego uczucia. Wczytajmy się... Podziw (wynikający z oglądania rzeczy niebieskich) jeszcze nie spłynął, *chociaż na ziemi* przeżyła dwadzieścia lat. Jaki to związek ma jedno z drugiem? Co tu „chociaż“ porabia? Jeżeli znowu zaledwie minęła doba, jak wybrana ujrzała się wśród chórów anielskich, cóż naturalniejszego nad to, iż dziwić się jeszcze nie przestała? Domyślamy się, że takie niekonsekwencye i niedorzeczne wprost skojarzenia nie obciążają zgoła artystycznego sumienia poety. Domysł nasz niebawem zamieni się w pewność. „*Herseemed* she scarce had been a day One of God's choristers, The wonder was not yet quite gone From that still look of hers; Albeit, to them she left, her day had counted as ten years. To one, it is ten years of years...“ Jest prześliczna legenda średniowieczna, przytoczona również przez Longfellowa, w którym i p. L. zapewne się rozczytywał, jeżeli go tłomaczy. Otóż pewien zakonnik zatroskał się, czy wieczna szczęśliwość nie będzie zbyt nudną i jednostajną. Może właśnie rozmyślając nad tem, udał się o wschodzie słońca na przechadzkę z modlitewnikiem w ręku, gdy niespodzianie ujrzał ptaka o niewidzianej świetności barwach piór. Postąpił za nim kilka kroków, a ptak, przelatując z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, zaśpiewał tak dziwnie i cudnie, iż zakonnik zasłuchany ocknął się dopiero wtedy, gdy rajski wysłannik zniknął mu nagle z oczu. Cóż to? Mgnień ledwie kilka trwał czar, a oto dzwon klasztorny już „Anioł pański“ wygłasza, już słońce się kryje i mrok zapada... I zrozumiał wtedy, jakiej szczęśliwości błysk mu ukazano, zrozumiał, iż w dziedzinach nadziemskich czas nie jest tym powolnym godzin pochodem, jak w życiu doczesnem. Ale trzeba spieszyć, nim furtę zamkną. Kołata, wchodzi, lecz znajomych twarzy nie spotyka... Gdzież jest? Pytają go: skądżeś, bracie? Odpowiada, nie wierzą mu lub go wyśmiewają. Jedno i drugie pokolenie ziemskie minęło, nim ubiegła jedna tylko chwila ekstazy... I oto Rossetti najistotniejszą część tej koncepcyi wcisnął w dwa wiersze... Lecz p. L. uznał to snadź za niepoetyczne. Zdało się jej (*herseemed*), że zaledwie dzień jeden minął, od kiedy stanęła w szeregu chórów niebieskich i podziw jeszcze nie zniknął z jej oczu, chociaż *według ziemskiej rachuby* upłynęło już *dziesięć* lat od czasu, kiedy ostatni oddech uleciał z jej piersi... I u p. Langego „chociaż“ i u Rossettiego „chociaż,“ a zatem wszystko już dobrze. Że liczba „dziesięć“ podrosła na dwadzieścia, nic znowu dziwnego. Gdyby ów „kwiatek“ przebywał na ziemi tylko dziesięć lat, nie mógłby nikogo w sobie rozkochać, ani (nie będąc Latką Sienkiewiczowską) sam się rozkochać... Koniecznie tedy należało *poprawić* nieopatrzny błąd poety angielskiego. Stąd już dalsze konsekwencye: u p. L. w dwudziestu latach (jakto, już od pierwszej chwili przyjścia na świat?) kochanek oblicza „wieki“ błogości; u Rossettiego zaś w dziesięciu latach rozstania mieszczą się wieki tęsknoty, i nie „wieki“ nawet: „*ten years of years*,“ bo tu każdy dzień był rokiem... Jak zwykle obraz wyrazisty i pełen treści u tłomacza uduchowia się, bo staje się ogólnikiem. „Tłumy na wieki złączonych kochanków wokoło niej krążą, słodkimi wyrazy, wciąż powtarzając swych przysiąg ekstazy.“ Nie bardzo mi się podobają „przysiąg ekstazy,“ lecz nie chcę na wzór sędziego śledczego w każdym wierszu i słowie dobadywać się dowodów winy. Wina tkwi gdzieindziej. P. L. zaciera w przekładzie pewien subtelny rys. Wirują w postaci płomyków tłumy kochanków, złączonych na wieki, lecz nie od wieków; oto przed chwilą dla serc tęsknotą umęczonych wybiła ostatnia godzina rozdziału; oto usta błogosławionych powtarzają w zachwycie swe *nowe* imiona... I każdy taki płomyk pomyka w górę, ku podwojom niebieskim i mija ją, *także tęskniącą*, także wytężającą swój wzrok w głąb otchłani. Zacierając ten rys, unicestwiamy poddawczą siłę obrazu: a ona doczekać się nie może... Jeżeli zaś cały poemacik jest połączeniem takich eterycznych ogniw, i jeżeli wyjąć każde a zawiesić natomiast żelazne lub kamienne kółko, choćby najwykwintniej wykończone, w cóż się zamieni poezya? Czyż mam jeszcze wytykać w każdej z kolei zwrotce podobną przeróbkę? Znizywać wszystkie wyrażenia, jak: stanie u „skrzyni progu“ (!), co „święci na niebie wiecznie poruszana,“ lub: „dwie modlitwy potęga niemała“? Czy będę jeszcze upewniał, iż nie jest własnością Rossettiego to prozaiczne zakończenie: „Strugą obfitą płakała smutno. Słyszałem, jak łzy wylewała“? Nie, dość ju tego.

Znużyłem może czytelnika nadmiarem przytoczeń i drobiazgowością uwag. Nie chciałem jednak, aby mnie posądzono o dowolność, o nieposzanowanie cudzej pracy, o zgryźliwą ocenę działalności pisarza, którego imię wymieniane bywa obok pierwszorzędnej wielkości gwiazd naszego firmamentu poetyckiego. Jeżeli żal nasz względem niego był wielki, a sąd surowy, pragnąłem wykazać, że nie zbywa nam na podstawach do takiego żalu i sądu.

Istotnie pięknymi ustępami, pod którymi wolno było p. Langemu swój podpis położyć i do powszechnego podać użytku, jest dział poetów węgierskich, zwłaszcza Arany'ego, o ile sądzić o tem można bez znajomości utworów oryginalnych. Niemniej pięknemi są tłomaczenia z Poego, które niewiele lub nic wcale nie tracą przy porównaniu. W kilku wypadkach przypisać to należy tej okoliczności, iż przełożone utwory oparte są przeważnie na efektach dźwiękowych, jak to widzieć można zwłaszcza z „Dzwonów,“ bardzo sztucznych, choć i zimnych zarazem. Ta dziedzina najodpowiedniejsza jest właściwościom talentu p. Langego. Znajdą się i tu skazy („smutnie tej gwieździe nie wierzę,“ „gorączka zwana życiem *mózgi* mi rozpala“), ale na to powinniśmy być przygotowani. Przytoczę tu jedną zwrotkę z „Miasta na morzu,“ z którejby usunąć trzeba tylko pewien rys sprzeczny z całością obrazu i obcy oryginałowi — pławienia się Zachodu w czerwieni.

„Patrz — oto czarny śmierci tron wśród dziwnych, pustych, dzikich stron, gdzie się Zachodu krwawi skon. Tam wielcy, mali, dobrzy, źli, w spokoju wiecznym każdy śni. Tam gmachów tłum, tam wieżyc zrąb, których nie dotknie czasu ząb, a w krąg od wichrów zapomniana, drętwa, pod niebem na dolinie melancholijnie woda płynie. Nie schodzi żaden błysk z lazurów na wieczny mrok tych sennych murów, lecz z ułudnego morza fal milczące światło spływa w dal...“ To jest śliczne. Czemuż podobnych rzeczy jest tak niewiele.

Ruskina „Malarstwo i poezya“ nic nie ma wspólnego z „rymami,“ potrąca przecież o dziedzinę poezyi, a nadto przekład książki jest pracą tego samego, co powy-

*t*ej, autora; z tych powodów tu o dziełku tem wspominamy. Pierwsze wrażenie, którego doznajemy, wziąwszy je do ręki, jest uczucie dolegliwej przykrości. Chcemy wierzyć, że nigdzie myśl autora nie została przemieniona na całkiem jej przeciwną, jak to się zdarzyło nieraz w przekładach poezyi. Nie zawsze atoli jest łatwo wyłuskać tę myśl z ciężkich okresów tłomacza i nie zawsze z tą pewnością, że ją naprawdę odgadnięto. Shakespeare był „posłany na ziemię dla powszechnego i jednolitego ujęcia natury ludzkiej i poruszał się w niej poprzez wszystkie możliwe wpływy (?) do ostatniego łańcucha pochyłości jej myśli. Było koniecznem, aby Shakespeare nie przechylił się na żadną drogę..." (str. 25). I co to wszystko znaczy? Mniejsza już o to, jeżeli wyrażenie jakieś jest tylko niezręczne, nie zaciemnia jednak istotnego znaczenia słów. Gdzieś dowiadujemy się, iż jeżeli malarz nie zachowa takich a takich warunków, mamy „świetny niedostatek." Rzecz zaiste dziwna. Gdzieindziej z przejęciem odczytamy morał dla nauczyciela, któremu nie godzi się utrzymywać swego ucznia „w tem mniemaniu, że z możliwym lub prawdopodobnym *wynikiem* (?) powinien zawsze malować jak Tycyan..." Otóż i teraz znaleźliśmy się przy *wyniku*, jak wtedy, gdyśmy się z p. Gaborem rozstawali.

„Pieśni Anakreonta"... do tych chyba najmniej tęskniliśmy, a jednak jest to praca najlepiej wykonana z tych wszystkich, o których była powyżej mowa. Że p. Lange potrafi piękniej pisać, niż bezimienny Anakreonta wskrzesiciel, zbyteczną byłoby rzeczą mówić. U tego wszelako niema zbytnich odskoków pomiędzy jedną zwrotką a drugą, a przedewszystkiem zakłada on sobie cel o wiele skromniejszy, więc i swemu zadaniu podołać umiał. Czy zupełnie? Nie będziemy dochodzić, o ile przekład niniejszy czyni zadość wymaganiom ścisłości filologicznej. Nie biorąc atoli do rąk oryginału, dostrzeżemy mimo to tu i owdzie ustępy, dające nam prawo posądzać tłomacza o pewną dowolność. „Zamiast kłótni i hałasów, jak u Scytów dzikich w *modzie*" itd. Coś ta „moda" nie ma zabarwienia archaicznego... Nic dziwnego, jest to bowiem tylko rym do „zgody." Gdzieindziej „jaskółki języczek *głośny*" uczynił Tercusza „sprośnym." Zdaje się, że nieraz tłomacz, nie umiejąc wyrazić zwięźle myśli oryginału, mnożył wiersze, no, i nie zawsze szczęśliwie. Pojmany gołąb nie pragnie swobody. „O, znam ja na wolności gołębi dolę marną: zbiegają góry, pola, by znaleźć liche ziarno." Czyż naprawdę „zbiegają"? Jeniec wysługuje się tedy panu, jak umie: spieszy oto z wieścią do ulubionego przez poetę Batyllosa. „Mię posłał do osoby (?) Anakreont nielada (!), do chłopca, do Batylla, co sercem jego włada." Niejeden jeszcze odszukać by się dał podobnie niezręczny ustęp; na ogół jednak biorąc, autor dość dobrze wywiązał się z podjętego zadania. Niektóre jego przekłady są udatniejsze od dokonanych przez J. Czubka w zbiorku „Liryey greccy"; pod względem zaś ilości (ominięcie Kniaźnina zbytnio sumienia nam nie obarczy), jest to wiązanka w języku naszym najobfitsza. Czytelnik może z niej wyrobić sobie należyte zdanie o właściwościach autentycznej poezyi śpiewaka jońskiego, poezyi lekkiej, naiwnie rozwiązłej, beztroskliwej i beztreściwej. „Autentyczność" wszelako, o której wspomnieliśmy, stosuje się wyłącznie do charakteru poezyi, nie do osoby Anakreonta. Niektóre z niewątpliwych tego poety utworów nie znalazły dla siebie miejsca w zbiorku, natomiast mamy tu szereg t. zw. „anakreontyków," odznaczających się pewnem pokrewieństwem z barokową poezyą włoską i pochodzących z różnych czasów i od różnych autorów, którzy już w starożytności podszyli się pod słynne imię piewcy Tejskiego. Do tych nalożą np. wszystkie śpiewki, w których mowa o zagadkowej miłości względem Batyllosa. Autor nie ostrzegł w tym względzie czytelnika, jakkolwiek sądził, że temu ostatniemu potrzebne będą wyjaśnienia takich rzeczy, jak: kto był Homer, Ajaks, Hektor itd. Są tacy pewnie, którzy tego nie wiedzą, lecz pocóż im Anakreont?

A. Drogoszewski.

LITERATURA NIEMIECKA.

Ludwika Westkirch: *Oderwani od gleby (Loos von der Scholle)*. Stuttgart. Robert Lutz, 1900 r., dwa tomy.

Oderwani — i tacy, którzy nigdy ziemi nie mieli; ci, których los rzucił w obcą, niewiadomą przestrzeń, czyniąc, że znaleźli się w niej jak liście przez wichry zmiecione, i tacy, którzy przyszli na świat pod znakiem wiecznego tułactwa, z dźwięku tylko znając „ziemię" rodzinną. Ci, którzy własną ręką orali, kopali, uprawiali kilka własnych skib, byli niemal cząstką tej twardej, lecz dobrej ziemi i przywiązali do niej wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje—i tacy, którzy są „Sommerfrischler auf Lebenszeit," wciąż widząc przed sobą niezmierzony świat, próżnię bez gniazda i bez nadziei na dzień dzisiejszy. Wieś i miasto, bezchałupnicy i mieszkańcy suteren, poddaszy i przytułków nocnych— dwa wzajem dalekie i niepojęte sobie światy, które zbliżają się i zapoznają dopiero, gdy przemówią do siebie mową nędzy.

Hołota... I nietylko „hołota" — w rozumieniu Judyma. Wśród nich bowiem porusza się też Joachim von Thadden, latorośl wielkiego rycerskiego rodu; do jej szeregów schodzi wolno Dytrych von Krokow, z dziada-pradziada pan na wielkich włościach. Jak do bezbrzeżnego oceanu spływają do niej niezliczone i niezmierzone fale — z wyżyn, z równi i z podziemi.

„Zaludniają wszystkie poddasza tych niebosiężnych baraków, które noszą nazwę „domów prywatnych." Z głową pełną rozumnych, częstokroć zaś genialnych myśli, z pustym żołądkiem, w odzieży wykwintnie skrojonej, lecz zużytej, wyszarzałej, w wydeptanych butach biegną niestrudzenie, najdziwaczniejszych chwytając się zajęć..." Dymisyonowani urzędnicy, uczeni, wynalazcy, literaci, adwokaci i doktorzy, dziennikarze, nauczyciele i — legion kobiet, oto nazwa tego bezimiennego mrowia. Nazwiska oznaczone są numerami. Jest brama, długa, ciemna sień, po obu stronach drzwi i schody; mur odrapany, noszący ślady brudnych rąk, woń potu ludzkiego i bielizny. Znowu skręt, długi korytarz, a na nim drzwi obok drzwi; na drzwiach szyld albo karta wizytowa — w głębi zaś dola, niedola, garść najrozmaitszych losów ludzkich: miasto.

W książce Ludwiki Westkirch jest to Berlin, który wszakże wyrasta do znaczenia symbolu.

Berlin kapiący od złota, rozszalały uciechą i wiecznie złota głodny; i Berlin, który olbrzymie, zaborcze łapy kładzie na każdą piędź ziemi, aby uczynić z niej nową podwalinę nędzy i bogactwa. Berlin „z pod lip" i Berlin zasnuty dymem, sapiący oddechem maszyn — czarny Berlin.

„Und doch wird viel Jeld hier jemacht." A o to idzie.

Tu znajdują się tkalnie Brümmerów, w najuboższej zaś dzielnicy miasta wznoszą się dwa olbrzymie budynki, dwa niemal pałace: „Miejski dom zdrowia" i „Przytułek dla bezdomnych." Ręce, które z tej najuboższej dzielnicy wyciągają się po chleb, „zatrudniają" wszelkiego rodzaju Brümmerowie; miękkie mając serca, hołdują dobroczynności i ich to niewątpliwie zasługa, że chorzy i niepotrzebni, opuściwszy warsztaty fabryczne, zajść mogą do „Przytułku."

I jak tu pieniądz pochłania pracę, tak na wsi pochłania ziemię. Wielki klucz Kummerowski rozsiada się coraz szerzej, nie bacząc, że przytłacza setki istnień. Sielski Brummer, pan von Schliepen, przez ręce Friedbergerów kupuje parcele i pomaga biednym chłopom. Aż umrze taki chłop. Zostawia syna, córki. Trzeba dzielić dziedzictwo — trzeba sprzedać rolę. Pan von Schliepen kupuje — zaś Jan Dammerkow, oderwany od gleby, stacza się, jak niepostrzeżona kropla w morze proletaryatu miejskiego, gdzie weźmie go pod opiekę— Brummer.

„Siedzi przygnębiony na wąskiej ławeczce, w przedziale czwartej klasy. Lewą ręką targa włosy, prawą trzyma kurczowo czerwony tłomoczek, który zawiera trochę odzieży i tę odrobinę pieniędzy, jaka przypadła na jego część z działów. Ten drobny tłomoczek jest obecnie jedyną jego na ziemi własnością. Całą własność swoją trzyma w jednej ręce. Wczoraj zaś miał jeszcze łąkę, pole, bydło i chałupę."

Kto nie zna, kto nie widział Jana Dammerkowa?

Ma on w Berlinie brata — policyanta. Brat ten jest tedy „urzędnikiem" ogromnie dumnym ze swego stanowiska. Bowiem powiada, że „im preussischen Staat scheint die Gnadensonne auf die Beamten." Urząd to nie byle jaki. Trzeba mieć takt i spryt. Spryt w stosunku do przewrotowców i włóczykijów, takt — by nie czepiać się, gdzie nie należy. To zaś jest trudne: trudno bowiem odróżnić pijanego brabicza od pijanego przewrotowca. A różnicy zatrzeć nie wolno. „Spojrzyj tylko na to olbrzymie miasto, na mieszkańców, których jest przeszło milion! A każda ulica i każda uliczka, jakby je ktoś miotłą wymiótł — a ludzie spokojni, zadowoleni, pewni życia i własności we dnie i w nocy. To wszystko zaś robimy my, policya. To nie fraszki. Ilekroć pomyślę o tem, dumny jestem, podnoszę hardo głowę i powiadam sobie: gdziekolwiek stanę, za mną stoi państwo. I kiedy wydaję rozkaz, wydaję go w imię całego państwa pruskiego. A do tego dodaj czyste sumienie! Cokolwiek bowiem czynię, czynię w imię Boga, króla i ojczyzny!"

Bracia kochają się. Ale powoli miasto wytwarza między nimi przepaść. Jan, szukając roboty, znajduje ją przy budowie kanałów, Karol-urzędnik wstydzi się „hołoty," zatrudnionej przy tak ordynarnem zajęciu. Jan ma narzeczoną, dziewczynę ze wsi rodzinnej i dziewczyna ta idzie za nim do miasta. Jest młoda: chce się bawić, żyć. Stacza się powoli i upadek jej przyspiesza Karol Dammerkow, aresztując ją na wezwanie spoliczkowanego przez nią „pana." W fabryce Brümmerów wynikają wywołane przez katastrofę zaburzenia. Na czele rozszalałych bólem robotników jest Jan Dammerkow — i na czele strzelającej rzeszy — Karol, który mierzy w brata w imię Boga i ojczyzny... Miasto odbiera Janowi narzeczoną i brata.

Odbiera mu też wiarę dawną dając nową. Odbiera mu dawną rodzinę, lecz daje inną. W suterenach, na ubogiej ulicy u „Mutter Liebestraut" znajduje dom i przyjaciół. „Mutter Liebestraut" — handlarka z zawodu odnajmuje pokój z czterema łóżkami czterem bezdomnym. Za 1 m. 50 f. tygodniowo — z kawą i prawdziwie matczyną opieką. Prowadzi wprawdzie stałą wojnę z Karolem Dammerkowem — lecz nie ma z góry powziętych uprzedzeń, natomiast posiada dużo serca i sprawiedliwości. Powiada: „Mich is noch keene Handelsfrau bekannt jeworden, die sich in eenen Schutzmann verliebt hätte. Uf der anderen Seite aber eschtimiert die Liebestrauten jeden Menschen vor en

Jowiche vor sich." I dlatego Janowi dobrze jest u niej. Tu, w tej suterenie, przeżywa dramat życia; tu poznaje dawne błędy i nowe prawdy; stąd wychodzi, idąc po śmierć.

U „Mutter Liebestraut" mieszkają prócz niego Ballauf, dorożkarz pierwszej klasy, lubiący wykształcenie i piękne maniery; Ede Schmitz, murarz, typ berlińskiego robotnika i Gustaw Kahle — marzyciel i fanatyk wiedzy, mimo to, że marzy... o fraku kelnera i że wiedza streszcza się dlań w wymaganej w wielkich lokalach znajomości języków.

Są to typy skończone, wielkie i stanąć mogą obok najdoskonalszych w literaturze. Każdy z nich jest niejako imieniem gatunkowem dla niemej rzeszy. Przyjaźń, jaka zawiązuje się między Kahlem i Janem Dammerkowem, przyjaźń, która trwa do śmierci i wybiega jeszcze po za śmierć, jest jednem z najpiękniejszych obrazów, stworzonych przez uczucie.

I książka Ludwiki Westkirch jest jedną z najlepszych książek, stworzonych przez uczucie. Drga w niej owa nuta głębokiego miłosierdzia, które każe być sprawiedliwym i czynić sprawiedliwość; drga w niej żywe, czujące i cierpiące serce. Ludwika Westkirch zna ludzi, których opisuje, zna ich mowę, nawyknienia, słabostki i zwyczaje, zna ich zawody i nadzieje, bóle i uciechy, zna ich duszę, leżącą w mrokach, a tak złaknioną słońca. By ich w tym stopniu poznać, musiała im być blizką sercem.

Reszty dokonał talent.

Dla tych, którzy jak Franciszek Servaës w tragedyi współczesnego życia szukają prawidłowej „literackiej" tragedyi, lub też „literackiej" epopei, książka ta ma rozliczne wady. Ma bowiem natenczas za mało zimnego „objektywizmu." W moich oczach ta serdeczna nuta niezmierzonego współczucia jest jej największą zaletą. I tem współczuciem właśnie niesie literaturze „dobrą nowinę." Ludwika Westkirch przeżyła dramat „Oderwanych od gleby" — i Franciszek Servaes przyglądał mu się może tak, jak przygląda się obrazom Ury'ego, zachwycając się grą świateł i cieni. Powiada wprawdzie: „Nie trzeba być poetą, aby czuć, że rozwija się tu (w mieście) potężna tajemnicza epopeja, pełna wstrząśnień i dramatycznych momentów, pełna krzywd i niesłychanego szczęścia, pełna dzikiej, przejmującej poezyi i słodkiej swojskości. Kto ją nam napisze?" Może on sam opowie ją — „wybranym," których zwołają afisze: — „Mówi Franciszek Servaës „O epopei miasta." Najtańsze miejsce — 6 marek. Es wird gebeten in Gesellschaftstoiletten zu erscheinen..." W takich warunkach można mówić bardzo „po literacku" i bardzo... objektywnie.

I nie z rodu Servaësów powstanie bard, który po latach, latach wziąwszy w rękę lutnię starego Kummerowskiego lirnika, wyśpiewa niedokończoną pieśń...

Malwina Posner-Garfeinowa.

POEZYE

MORZE.

Lubię w ciszę poranku patrzeć na bezmiary
Wód fiołkowych, strojnych w śnieżnej piany kwiaty,
Lubię w srebrne południe siąść u progu chaty
Rybackiej i wsłuchiwać się w fal ciche gwary.

Lubię w porze wieczornej płynąć przez obszary,
Kiedy słońce po falach rozsnuwa szkarłaty,
A nad niem obłok krwawy, jak anioł skrzydlaty,
Ogniem skrzydeł zapala na wodach pożary.

A gdy w noce bezgwiezdne wicher miotać zacznie
Dziką otchłanią, kiedy morze na granity
Piersią skacze daremnie, gdy walczy rozpacznie,

Jak człowiek, co nadziei stracił złote świty—
Smutek jakiś mnie dręczy, żal mnie jakiś kruszy,
Bo czuję, jak podobne jest do ludzkiej duszy.

Kazimierz Gronkiewicz.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS

III.

Andre Vogel, andre Lieder! Inne ptaki, inne pieśni! — powtórzymy za Heinem, zbliżając się do drugiej grupy głosów, która odezwała się w tym naszym wiosennym chórze. Nie „zśpiewana" to jeszcze grupa chóralna; głosy nierówne, niezorganizowane, nie przyzwyczajone do popisów *unisono*. Po największej części zresztą to—luzacy dotychczas. Kwestya emigracyi robotnika wiejskiego jest jeszcze tak świeżą, a przytem tak bolącą, że zainteresowani zaledwie zdolni byli wyrazić swoje niezadowolenie z powodu jej narodzin. Protestować łatwiej jest, niż budować. Są już atoli tacy, którzy zrozumieli, że, wołając za robotnikiem niby Kochanowski: „Urszulo moja, gdzieżeś się podziała" — nie zwrócą go z drogi. Z natury rzeczy wynika, że takie głosy muszą być mniej widoczne. One bowiem wszystkie muszą się zaczynać tam, gdzie się domniemany, w rublach i kopiejkach obliczany interes ziemianina kończy — od wydatków. Takie głosy są niechętnie słuchane, nie są tedy śmiałe. Ale mimo to nie uważalibyśmy ich za nieistniejące, jeśli w prasie specyalnej, rolniczej jednego czy kilku zaledwie znalazły sobie przedstawicieli. Ci ostatni są, o ile się nam zdaje, *typowymi* ich przedstawicielami. I dlatego też zastanowimy się dłużej a obszernie nad jednym, który się nam wydaje nader poważnym i zastanowienia godnym.

P. Wyganowski („Co kosztuje robotnik wiejski w Kaliskiem?" *Gazeta rolnicza*, 1900, str. 110) nie bawi się w frazeologię. Zamiast łamać ręce i rozdzierać szaty, wziął ołówek do ręki i obliczył, co i ile robotnik kosztuje. Że zaś uwzględnia przedewszystkiem Kaliskie — okolicę tedy, gdzie gorączka emigracyjna najwcześniej i najdotkliwiej uczuć się dała, tedy wywody jego mają nader poważne znaczenie. Dlatego też zatrzymamy się dłużej nad tym głosem. Właściciel folwarczny rozporządza w Kaliskiem trzema typami robotników wiejskich: „ręczniakiem," posyłką i Galicyaninem. Jest wprawdzie stały, jak mówią, na wsi robotnik wiejski — najemne coraz liczniejsze szeregi małorolnych włościan zpośród uwłaszczonych. On to właściwie popsuł właścicieli folwarcznych, był bowiem najtańszym. Dziś i on wreszcie zrozumiał, że dwa razy dwa czym cztery i poszedł do Łodzi albo do Prus. A z wyjątków, które zostają w domu, niewielka płynie pociecha dla „dworu." Przychodzą bowiem do roboty wtedy, gdy nie mają w domu zajęcia: na wiosnę, gdy nie pora jeszcze chodzić około buraków, w żniwa—gdy się ze swojemi załatwili. Wczesną zaś jesienią, w czasie jesiennego sianokosu, siewów, wożenia nawozów, wczesnego kopania — nie przychodzą wcale. Aż dopiero pierwsze przymrozki w końcu października, gdy spiesznie trzeba buraki pochować i gdy skutkiem tego płaca jest wyższą, gdy dzień roboczy liczy 7—8 godzin, przerywanych deszczem, mrozem itp. przeszkodami -przyciągają ich znowu na dziedziniec folwarczny. W budżecie rolniczym należy ich pominąć, tak to niepewna pozycya. Natomiast pozostają trzy wymienione powyżej typy:

1) *Ręczniak* (w innych okolicach ordynaryusz), który kosztuje według obliczeń p. Wyganowskiego 134 rb. 10 kop. za 280 dni roboczych, czyli mniej więcej pół rubla dziennie. „Że zaś zimą ma się ludzi na zawołanie po 20 kop., tedy jego 150 dni pracy wiosennej, letniej i jesiennej wypadnie dzień po 75 kop. Pan W. twierdzi, że są to przeważnie ludzie za starzy, aby iść za granicę, lub niedołęgi, a wreszcie obarczeni sześciorgiem dzieci, z któremi, jak tylko te odrosną, w świat do fabryk uciekają."

2) *Posyłka* zarabia rocznie: dziewczyna 74, chłopiec 91 rb.; przy uwzględnieniu powyżej zauważonych warunków ich czas roboczy wypadnie po 32 i 43 kop. dziennie.

3) *Galicyanin* kosztuje: uwzględniając koszty sprowadzenia (książeczka służbowa, wiza konsula, agent) i żywienie, od 54—70 kop. dziennie, przyczem trzeba im wszystkie narzędzia kupować. Jest to robotnik gorszy od naszego, przyczem niedługo nie będzie go wcale, przekonał się bowiem, że wychodzący z Królestwa do Prus robotnik przynosi po 100 rubli do domu, on zaś przeciętnie może uzbierać przez lato 27—30 rb. „Rzecz prosta, iż wolą Galicyanie iść do Niemiec; a należy nie zapominać i o tem, że wtedy niema mowy o paszportach wizowanych, że ubranie jest tańsze, a *godziny pracy krótsze.*" Że zaś praca tam może być cięższa, o tem robotnik nie chce myśleć, zresztą myśleć nie potrzebuje.

Z tych rachunków wyprowadza p. W. następujące wnioski: Z tablicy widać, że ręczniak i Galicyanin kosztują mniej więcej to samo. W stosunku do nich „posyłka" jest bardzo tanią i dlatego też o nią tak trudno. A więc należy jej szeregi możliwie powiększyć, co się da uskutecznić „znacznem podwyższeniem płacy."

„Jeżeli zaś to na razie — jak mówi p. W. — trudno, trzeba spróbować powstrzymać ludzi idących za granicę—większą jakąś sumą. Ta może na pierwszy rzut oka przestraszyć, lecz, obliczywszy skrupulatnie, zobaczymy, że ofiarując nawet 100 rubli *) chłopu, a 90 rb. dziewczynie za 6 miesięcy ciągłej pracy, tj. bez pozostawania w domu dla chrzcin, wesel, jarmarków, odpustów, taniej to nam wypadnie, niż wtedy, gdybyśmy Galicyan sprowadzali; a co więcej, mamy robotnika obeznanego z miejscowymi warunkami, inwentarzem, narzędziami itd. I zdaje mi się, że gdybyśmy zaofiarowali naszemu robotnikowi takie wynagrodzenie, ofiarowali rzeczywiście i powszechnie za ogólnem porozumieniem się i bez licytacyi sąsiedzkiej — w takim razie przypuszczam, że dużą część wychodźców zatrzymalibyśmy w domu." „Obliczmy stratę w nie opielonych burakach, niedość wcześnie obradlonych kartoflach, spóźnionym sprzęcie traw i zboża, zamarzniętych kartoflach i burakach; zważmy, że naszych dwudziestu robotników wychodzących do Prus starczy za trzydziestu Galicyan, a zobaczymy, że rachunek jest słuszny."

I my właśnie sądzimy, że nietylko rolnik „wyjdzie na swojem," ale że zyska na czysto. Nietylko moralnie, ale nawet materyalnie.

---

*) Suma taka wypadła panu W. z następującego obliczenia: „Chłop idący za granicę przynosi przeciętnie, licząc w tem jego garderobę, 100 rb., dziewczyna 80 rb. Rozkładając to na 150 dni pracy, wypadnie nam dzień 66 kop. chłop, 53 k. dziewczyna. A że wyżywienie jego w domu jest znacznie tańsze, niż żywienie Galicyanina (na dworskim stole), który nas kosztuje po 70 kop., więc płaca kosztowałaby nas mniej więcej jednakowo, a zarobek wypadłby robotnikowi bez zmiany."

P. Wyganowski nie jest literatem. Jego mowa nie jest płynna i może kto inny z pośród miedopłynnych i złotoustych trybunów ziemiańskich wyraziłby powyższe obliczenie inaczej. Umyślnie jednak zachowaliśmy styl oryginału: wieje od niego jakaś wcale nie częsta szczerość dobrego zamiaru i szlachetnego czynu.

Kończy autor kilku zdaniami treści ogólniejszej, które tutaj z przyjemnością powtarzamy: „Od długiego szeregu lat praca drożeje. Zaczęło się to w Ameryce i posuwa się coraz dalej. My nie jesteśmy jeszcze u punktu kulminacyjnego. Pogódźmy się tedy z losem, otrząśnijmy się z rutyny, weźmy ołówek w rękę i liczmy.

„Wszystkie zaś nienaturalne powstrzymywania wychodźtwa, jak niewydawanie kartek mieszkańcom dalszym, niepełnoletnim i inne środki represyi, o wprowadzenie których już tentowaliśmy — na nic się nie zdadzą."

A bon entendeur salut!

Inaczej trochę zapatruje się na „rural exodus" drugi nasz partner dzisiejszy. Inaczej jednak dlatego **tylko**, że nie jest **to** rolnik zawodowy, jeno inteligent prowincyonalny, lekarz, który z tytułu zajęć swoich wiele miał i miewa stosunków z obywatelstwem i światem robotniczym wiejskim Dr. A. K. ogłosił w jednym z kwietniowych numerów *Ech płockich i łomżyńskich* artykuł p. t. *Emigracya a dobro moralne*, niewielki kilkusetwierszowy zaledwie szkic, który jednak w całej naszej literaturze, sprawom wychodźtwa poświęconej zajmuje stanowisko wybitne. Staje ono stanowczo w obronie emigracyi. „Rolnik — mówi on — gdyby nawet zrozumiał zawiłe przesłanki ekonomicznego rozwoju gospodarstw rolnych w całej Europie, gdyby przestudyował wszystkie podręczniki ekonomii, to wątpię, czy zmieniłby stanowisko swe względem własnych mięśni, które bądź co bądź należą do niego osobiście i przedstawiają wartość wymienną na rynkach pracy. Robotnik mięśnie—ziemianin krestencyę swą sprzedaje więcej ofiarującemu. Ciekawy byłbym, czy ziemianin wobec braku chleba w kraju oddawałby pszenicę na rynku piotrkowskim lub ciechanowskim po 2 ruble, mogąc otrzymać w Ełku lub Wilbarku 5 rb. Jeżeli bieda i nędza jest rodzoną siostrą występku i niemoralnego trybu życia, to podniesienie dobrobytu mas przez zwiększone zarobki stanie się pierwszą dźwignią umoralnienia ludu — sprawienie zaś sobie nowego „palita" lub „szukni" za 15 rb. nie jest jeszcze nieszczęściem społecznem, a niemoralny stosunek, zawiązany przez Jana N. z Leokadyą N. w znaczeniu moralnem niczem się nie różni od tysiąca podobnych, gdzie Michał „zadaje się" z Magdaleną z tej strony granicy."

I w dalszym ciągu wywody autora zasługują na powtórzenie:

„Niedomierzanie ordynaryi, wytrącania różnego rodzaju, dawanie złego ziarna lub nadpsutych kartofli, brak opału, jak się to dzieje nie w jednym majątku u nas (! przyp. ref.), popychają stale służbę do oszustw, kradzieży i kłamstw codziennych, które przechodzą w nałóg wprost dziedziczny; nie jedną i nie dwie znam rodziny robotników wiejskich, gdzie dzieciom wykłada się razem z pacierzem, że wziąć pańskie lub dworskie, to nie grzech. Od wielu księży, którym nie mam powodu nie wierzyć, słyszałem zdanie, że lud nasz wyrobniczy uważa za grzech rozmaite drobne przestępstwa natury formalnej, gdy ciężkie występki uważa za konieczności życiowe (mala necessaria). Każdy czyn ma swą filozofię — prostak potrafi się usprawiedliwić wobec własnego sumienia z kradzieży i kłamstwa.

„Nasz lud z nieba nie spadł, a składa się z ludzi zwyczajnych, ulepionych z mieszaniny rozmaitych pierwiastków, z instynktami i popędami ułomnej natury ludzkiej. W warunkach życia wygodniejszych, mając byt swój i rodziny zabezpieczony, stanie się moralniejszym stokroć na obczyznie nawet, aniżeli u siebie, mając za doradcę życiowego głód i nędzę."

Nie umielibyśmy dodać tutaj żadnych, zbytecznych zresztą, komentarzy.

* *
*

Każde nowe zjawisko społeczne ma to do siebie, że budzi przedewszystkiem powszechne zamieszanie: ten w nogi, ów do korda, trzeci w płacz. Powoli, ogromnie zwolna, przychodzić zaczyna do władzy równowaga umysłowa i emocyonalna: zasiadamy na fotelach radców. Może też i z tego przemielania słów przy domieszce specyalnych drożdży — czynu, upiecze się jakiś zdrowy chleb, *modus vivendi* na dzień jutrzejszy.

Nie dziwmy się zresztą, że taki popłoch ogarnął rolników naszych. Oto u sąsiadów poniekąd nie lepiej. Pod datą 1-go maja piszą z Berlina, że w komisyi budżetowej parlamentu niemieckiego wywiązała się dyskusya na temat braku robotnika, dyskusya nader ciekawa; przytaczamy główniejsze z niej wyciągi:

Poseł Müller: Dlaczego nie nam minister nie mówi o środkach zarządzonych przez niego dla walki z brakiem robotników wiejskich. Przeciwnie nawet, ostatnie rozporządzenia, zamykające granicę, powiększyły tylko niebezpieczeństwo. — Poseł Grober: Istotnie, na Górnym Szlązku panują stosunki nie do zniesienia. Gospodarka agentów sprowadza ruinę, majątek narodowy jest zagrożony, nie rozumiem wcale, jak rząd może w takich warunkach nie dopuszczać obcego robotnika. — Poseł hr. Klinckowström słyszał, że rząd zajmuje się poważnie kwestyą braku robotnika na wsi. Nie wierzy jednak, aby co z tego wyszło dobrego, dopóki z zasady nie dopuści się Słowian. Nie możemy się obejść bez nich. — Poseł Szmula oświadcza, że złe stosunki na Górnym Szlązku pochodzą z winy przemysłu. Nie ma parobków, robotnicy odpływają do miast i nie wracają. Jeżeli rolnictwo nie ma upaść zupełnie, należy otworzyć granicę. Kwestye narodowościowe należy wyrzucić za nawias. A gorzej jeszcze: zdarza się, że grają tu rolę i względy wyznaniowe: wpuszczają do Prus ewangelików, zamykają zaś rogatki przed katolikami. — Poseł hr. Arnim nie wierzy, aby względy wyznaniowe swój wpływ wywierały. Czechów bezwarunkowo nie należy wpuszczać do kraju, Galicyanie są obojętni (!). Według niego, *należy załamować w jakikolwiekbądź sposób odpływ robotników do miast. W mieście czeka ich nędza*... (Ten sam motyw, co w serenadzie p. Wodzyńskiego).— Poseł hr. Stolberg widzi jądro kwestyi w hegemonii przemysłu; rolnictwo nie może płacić robotnikom tyle, co fabryka. — Richter (przywódca wolnomyślnej partyi ludowej) protestuje przeciwko insynuacyom Arnima. Tylko precz z pańszczyzną! — Bebel. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rozwój militaryzmu i marynizmu znajduje się w związku z brakiem robotnika na wsi. Od r. 1887 kilkaset tysięcy ludzi oderwanych zostało od roli, a jednocześnie rosną potrzeby przemysłu i — ostatecznie rolnictwo upada. Należy dbać o to, aby parobek był zadowolony, aby kadry wojskowe uległy zmniejszeniu, a służba wojskowa skróceniu. Zaprzecza stanowczo temu, że przemysł jest popierany kosztem rolnictwa. Przemysł ponosi przedewszystkiem ciężary ubezpieczenia robotników, gdzie rolnictwo mały tylko bierze udział. Po za tem cła rolne podnoszą cenę artykułów spożywczych ze szkodą dla robotników przemysłowych. Robotnicy obcy, rzecz pewna, wpływają na stanienie siły roboczej... Itd. itd.

Widzimy i tutaj, gdzie kwestya emigracyi już oddawna jest paląca, że jeden bieży do Annasza, drugi do Kaifasza. Nie bierzmy tedy tak bezwzględnie za złe naszym rolnikom chronicznego bezkrólewia, jakie w ich głowach w kwestyi tej panuje.

Ale Niemcy nietylko trzy po trzy pleść umieją. Pewien znakomity publicysta mówił nam kiedyś, że, biorąc kilku Niemców do garści i polewając ich wodą, otrzymamy... glinę. To są organizatorowie, budowniczowie pracy społecznej. Zaledwie na widnokręgu ukazał się ponury cień *der Leutenoth*, jak zakrzątnęli się wnet około niego, aby go osłabić, jeżeli nie odpędzić. My obecnie zdobyć się możemy (por. wyżej głos p. Wyganowskiego) tylko na podwyższenie płacy. Jest to, jak na dziś, środek najważniejszy, i o ile racyonalnie, celowo wprowadzony w życie zostanie, może na lat kilka prąd wychodźczy w pewnym stopniu zatamować. Ale tylko chwilowo i sporadycznie. Boć i sąsiedzi nie śpią. I oni mogą (a będą musieli — chyba że sobie Chińczyków sprowadzą) w tym samym stopniu płacę podwyższyć, a wtedy walka konkurencyjna o siłę roboczą stanie się bardziej jeszcze zażartą. Trzeba tedy zastanowić się nad innemi stronami życia ludu roboczego na wsi. Nie należy brać tylko pod uwagę stosunków materyalnych. Dziś i włościanin nasz nietylko „chlebem żyje." Zobaczymy tedy, co uczynili Niemcy w dziedzinie warunków kulturalnych życia ludu pracującego na wsi. Może na tle tych dokonanych już faktów zajaśnieją nam — po przez mgły fantazyi przynajmniej widziane — kontury tego, co najbliższa przyszłość u nas stworzy, bo nietylko stworzyć będzie chciała, ale i musiała.

Zen. Por.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na posiedzeniu farmaceutów w Warszawie p. Dmochowski odczytał swój referat „O warunkach normalnych dla pracowników w aptekach na prowincyi." Następnie przyjęto w zasadzie bardzo ważny projekt zaprowadzenia dwu zmian w aptekach w sposób następujący: Personel apteczny dzieli się na dwie połowy. Jedna zmiana pracuje od 9 rano do 4 po południu, druga— od 3 popołud. do 10 wieczorem. Godzina wspólna jest przeznaczona na przekazanie i przyjęcie pracy. Taki podział wprowadzono już w wielu aptekach petersburskich, zgodnie z uchwałą zjazdu Nowy system podziału pracy wymaga od apteki ze średnią czynnością zwiększenia personelu tylko o jednego pracownika.

Ruch kobiecy. Związek kobiet niemieckich (Bund deutscher Frauenvereine) urządził w Berlinie biuro wywiadowcze, mające informować kobiety o wszystkiem, co dotyczy wykształcenia fachowego, życia ekonomicznego, warunków pracy zawodowej itd. Biurem zarządza p. **Erna** Weigert (Berlin W. Kielganstr 2).

— W **Bremie** urządzono wykłady prawne dla kobiet w celu wyjaśnienia stanowiska majątkowoprawnego kobiety w kodeksie cywilnym.

— Do kilku kongresów feministycznych w Paryżu przybywa jeszcze jeden, urządzony przez stowarzyszenia katolickie pod protektoratem arcybiskupa paryskiego. **Odbędzie** się on 3—10 czerwca 1900 w **Paryżu**, w lokalu Société **de Horticulture**, 84 rue **de Grenelle**; obejmuje stowarzyszenia pobożne, nauczycielskie, gospodarskie, kolonij wakacyjnych dla dzieci; opieki nad upadłemi kobietami; robotnicze filantropijne (szpitale, przytułki, kliniki, siostry miłosierdzia, czerwony krzyż itd.)—wszystko oczywiście o ściśle wyznaniowym charakterze.

— Towarzystwo popierania pracy kobiet w Anglii ogłasza, że na sześć milionów dorosłych kobiet wypada 3 miliony takich, które pracują na utrzymanie swoje.

— Stowarzyszenie *Union d'amies de la jeune fille* najęło na czas wystawy paryskiej dom (76 avenue de Breteuil), aby pracownicom handlowym, które z tytułu wystawy przebywać muszą w Paryżu, o-

darować pewne schronienie i radę na wypadek potrzeby.

— Dziennik wiedeński *Oesterr. Volks-Zeitung* ogłosił konkurs na pracę p. t. „Na jakim polu mogą w XX stuleciu najpożyteczniej pracować kobiety?“ Wyznaczono trzy nagrody: 300, 200, 100 koron. Komitet redakcyjny tworzą panie Bosshardt, prezydująca związku wykształcenia kobiecego, Lange redaktorka czasopisma *Dokumente der Frauen*, pan Burckhardt, były dyrektor Burgu, Chiavacci, redaktor i prof. etyki Jodl. Termin wyznaczono na 15 maja r. b. Praca musi być pisana po niemiecku i obejmować nie więcej nad 300 wierszy.

— Rada profesorska uniwersytetu wiedeńskiego zwróciła się do ministeryum oświaty z oświadczeniem, że należy dopuścić kobiety do egzaminów ostatecznych na wydziale prawnym i otworzyć dla nich zawody adwokatek, notaryuszek itd. Oświadczenie to zostało poparte obszernym referatem, który na życzenie rady uniwersyteckiej wygotował profesor prawa państwowego, Edmund Bernatzik.

Sacharyna. Walka, jaką prowadzą cukrownicy przeciwko producentom sacharyny w Niemczech, ma się zakończyć niedługo znacznem opodatkowaniem ostatniej. W związku z projektem odnośnego prawa *Reichsanzeiger* berliński przytacza statystykę, z której widzimy, że podczas gdy 1896/7 r. produkcya sacharyny w Niemczech wynosiła 34 tysiące kilogr., 1897/8 — 78 tysięcy, w 1898/9 wyniosła już 132,000 kilogr. Uwzględniając, że sacharyna jest 300 razy słodsza od cukru, widzimy, że wzmiankowana ilość sacharyny równa się 400,000 centn. podwójnych cukru. Walka konkurencyjna zupełnie tedy jest uzasadniona. Nie należy zapominać, że poważna część produkowanej w Niemczech sacharyny bywa spotrzebowaną w Cesarstwie rosyjskiem. U nas prawie w każdym wiejskim sklepiku można napotkać flaszeczki niemieckiej sacharyny, która umiała zyskać sobie wielu przyjaciół śród włościan.

Wystawy i zjazdy. Na zjeździe przemysłowców górniczych, który odbędzie się w Petersburgu przy końcu r. b., między innemi roztrząsane będą sprawy Banku przemysłowo-górniczego i szkół górniczych.

Katastrofa. D. 8 b. m. wieczorem w Antwerpii wyleciała w powietrze fabryka forsytu i dynamitu Herenthala. Wszystkie budynki okoliczne znikły z powierzchni.

Zmarli. J. K. Ajwazowski (83 lata) zmarł 2 b. m. w Szejch-Mamaj pod Teodozyą na Krymie, znakomity malarz rosyjski, który zdobył sobie ogromną sławę krajobrazami morskimi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Апрѣля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.